

SZTURM

miesięcznik narodowo-radykalny nr 32/2017 (05) ISSN 2450-5439



Szturm miesięcznik narodowo-radykalny nr 32/2017 (05)

[Krzysztof Kubacki - „Nacjonalizm w oparach absurdu” \[3-4\]](#)

[Grzegorz Ćwik - „Nacjonalizm na miarę naszych czasów” \[5-10\]](#)

[Witold Dobrowolski - „Dzień hańby” \[11-15\]](#)

[Marta Niemczyk - „Zieloni, czerwoni, brunatni” \[16-19\]](#)

[Tomasz Dryjański - „Ani kroku w tył!” \[20-21\]](#)

[Tomasz Dryjański - „Liberalne szambo” \[22-23\]](#)

[Leon Zawada - „Prometeizm jednostki” \[24-26\]](#)

[Adam Busse - „Co dalej po wyborach prezydenckich we Francji?” \[27-30\]](#)

[Tomasz Kosiński - „Oswald Mosley - „Odpowiedź dr. Strasserowi” \[31-37\]](#)

[Michał Walkowski - „Recepcja poglądów Johanna Herdera w Polsce” \[38-40\]](#)

[Patryk Płokita - „Od monarchizmu do republikanizmu - ewolucja polityczna irlandzkiego męża stanu Arthura Griffitha” \[41-44\]](#)

Krzysztof Kubacki - „Nacjonalizm w oparach absurdu”

Pamiętam, że kiedy miałem te 18-19 lat i wchodziłem w życie polskiego nacjonalizmu, moje ego było dosyć wygórowane. Uważałem, że pozjadałem wszystkie rozumy, chciałem pouczać starszych i bardziej doświadczonych ode mnie kolegów na temat jak to wszystko ma wyglądać. Ot, młodość. Dziś widzę następców takiej postawy i jedyne co mi zostało, to ironiczny uśmiech. Dzieje się to samo z nacjonalizmem. Im bardziej ktoś uważa się za radykała, a jego postawa staje się coraz bardziej skrajna, wzrasta poczucie pewnej elitarności, która pozwala z góry patrzeć na innych. Niestety, obie postawy wracają jak bumerang do polskiego nacjonalizmu, który także i przez to stoi w miejscu. Młodzi działacze nie są w stanie porozumieć się z tymi, którzy siedzą w tym od lat; kłótnie, podziały, karierowiczostwo czy wybujałe ego i tak dalej, i tak dalej. Cieszymy się z małych akcji, które uznajemy za sukces, ale które – jakby ktoś przyjrzał się z bliska – nie są żadną nowością i powtarzają się co jakiś czas. Nie mamy wyznaczonych celów, poza narzekaniem, które dopada różnych ludzi po paru latach siedzenia w ruchu. Co niszczy od środka nacjonalizm?

Traktowanie idei jako chwilowej pasji, głosu młodości, który upada wraz z upływającym czasem i wchodzeniem w coraz to bardziej dorosłe życie... Tak, to nie tylko karierowicze i nudziarze są problemem naszego ruchu, ale ludzie, którzy w niego wchodzi, stają się jakąś tam nadzieją na przyszłość, marnują czas wielu ludzi, żeby po jakimś czasie odejść, dać sobie spokój, stanąć z boku lub po prostu stwierdzić, że „nie mam czasu”. Nic tak nie irytuje jak „nie mam czasu”, niechęć publicznego promowania swojej idei itp. Tacy ludzie to na dłuższą metę szkodnicy, swoim odpuszczaniem zabijający zapał innych, przez swoje lenistwo psujący wiele ciekawych inicjatyw, także z takich wyrastają następni mądralińscy pouczający wszystkich dookoła, osiągając jednak przy tym jedno wielkie nic. Tacy pasjonaci, którzy traktują ideę jako jakiś tam dodatek do swojego życia, takie hobby, którym zajmują się od czasu do czasu.

Tak zwani hobbyści przestają nagle być nacjonalistami, bądź takimi żołnierzami idei jak o sobie niegdyś mówili – kiedy kończą się szkoły, studia i zaczyna normalne życie. Nagle nacjonalizm staje się problemem, trzeba ukrywać twarz, nazwisko czy lepiej w ogóle się nie wychylać, żeby czasem w obieg nie wypłynęła informacja jakie poglądy się posiadało i posiada. Takie osoby zaczynają tworzyć wymówki wszelkiego rodzaju, starając się odsunąć jakoś z twarzą. Tacy hobbyści są bezużyteczni i po takich typu rozmowach powinni być skreślani albo po prostu ignorowani i nie traktowani poważnie. Nie potrzebujemy takich ludzi. Ale to nie wszystko - nacjonalizm niszczy od

środka wieczna wojna, kto jest zdrajcą, kto jest bardziej kumaty, kto coś tam zrobił pla, pla, pla. Wszystko to wiąże się z niemożnością zbudowania czegoś większego, wyjścia w końcu poza wieczną gadkę o organizacjach młodzieżowych, formacyjnych czy innych, które tak naprawdę w niewielki sposób mają wpływ na życie Polaków. Nie chodzi tu o wieczną gadaninę łączenia ponad podziałami, ale o stworzeniu jakiegokolwiek organizacji politycznej w ogóle. Bo każdy wie lepiej, bo ktoś tam nie szanuje tych samych bohaterów i lepiej kogoś poobrazić, a bo ktoś tam 5 lat temu powiedział to i to i tak dalej, i tak dalej – niestety takich przykładów można mnożyć. Z tworzeniem swoich organizacji nie mają problemu przeciwnicy nacjonalizmu, którzy w ostateczności mają większe pole działania – społeczne i propagandowe.

Uwielbiam czytać książki, nie ma nic lepszego niż formowanie swojej osobowości. Jednak niektórym czasem odbija. Naczytają się lektur przedwojennych nacjonalistów, Romana Dmowskiego i innych, żeby potem walić cytatami na prawo i lewo lub z góry patrząc na tych, którzy tych dzieł i lektur nie znają. Naprawdę, nic tak nie cieszy jak rozwijający swoje umysły nacjonaści, ale jednak tę nabytą wiedzę można przekazać w lepszy i przydatniejszy sposób niż wyśmiewaniem czy wymądrzaniem się. Napisz artykuł, wyślij do kogoś z pism, na jakiś nasz portal – zrobi to więcej pożytku dla ruchu niż jechanie po kimś, że jest niekumaty. Musimy przekazywać i promować naszą wiedzę, zdecydowanie w merytoryczny sposób, żeby przyciągnąć do siebie więcej ludzi.

Nacjonalizm musi skończyć z dziecinadą, po prostu. W końcu należy określić cele które chcemy osiągnąć czy mają to być tylko pojedyncze akcje społeczne od czasu do czasu, które są oczywiście ważne, ale powinny być uznawane za normalność niż za jakiś tam sukces. Za długo chełpimy się małymi akcjami, zbyt jeszcze nieśmiało spoglądamy w przyszłość i za dużo mamy wśród nas frustratów rozbijających nasz ruch. Trzeba sobie powiedzieć jasno, że naszym celem, do którego nacjonalizm powinien dążyć to objęcie nacjonalistycznych rządów w naszym kraju, w pełnym tego słowa znaczeniu. Idąc krok po kroku, rozbudowując organizacje, które powinny przestać gadać w końcu o jedynie swoich młodzieżowych charakterach, ale też o swoich politycznych zamiarach. Należy w dalszym ciągu dążyć do rozbudowy nacjonalistycznej propagandy, a także przygotowywać tych młodszych licealistów czy studentów na wejście w dalsze życie bez uszczerbku na działalności nacjonalistycznej. Młodzi powinni rozumieć starszych i na odwrót, współpraca – zamiast obelg. Idźmy w końcu naprzód, zamiast wciąż przeżywać to samo co jakiś czas. Niech ten nacjonalistyczny dzień świra się po prostu skończy.

Grzegorz Ćwik - „Nacjonalizm na miarę naszych czasów”

Jak już wspomniałem w jednym ze swoim poprzednich tekstów – polski nacjonalizm ma obecnie doprawdy bardzo dobre warunki do działania i rozwoju. Można rzec, że rządy PiS to swoiste „okienko”, kiedy musimy Ideę Narodową wznieść na taki poziom, który umożliwi nam realne wpływanie na rozwój Narodu i jego sytuację. Nacjonalizm oczywiście już od mniej więcej 2010 roku przestał być wyłącznie wąskim, subkulturowym zjawiskiem, a zapoczątkował stałą obecność w głównie-nurtowym życiu politycznym. Obecność ta zresztą jest pokazywana w mediach często jako dużo istotniejsza i ważniejsza, niż ma to miejsce w rzeczywistości. Wynika to oczywiście z retoryki większej części rynku medialnego w Polsce, jak i ogólnej kontrowersyjności haseł głoszonych przez nacjonalistów. Dotykamy tu zresztą ważnego problemu. Otóż nacjonalizm w Polsce wprawdzie stał się obecny w dyskursie, jednak z drugiej strony nie ma sensu zaprzeczać, że od pewnego już czasu środowisko ewidentnie „goni w piętę”. Mam na myśli tutaj fakt, iż nacjonalizm dla osławionego już typowego obywatela nadal jest zjawiskiem cokolwiek egzotycznym, niezbyt zrozumiałym i właściwie nie będącym żadną alternatywą dla mainstreamu – tak ideologiczną, jak i polityczną. O ile o kwestiach politycznych i partyjnych pisać w tym tekście nie zamierzam, o tyle kwestia ideologicznej kondycji nacjonalizmu wydaje się być ciekawym zagadnieniem do analizy.

Na obecną chwilę, nawet jeśli intencje poszczególne środowiska i grupy mają jak najlepsze, o tyle praktycznie od pewnego już czasu rozbijamy się o mur. A może nawet bardziej nie jesteśmy w stanie tego muru przeskoczyć. Jak już wspomniałem – przeciętni ludzie idei nacjonalistycznej zazwyczaj nie rozumieją lub rozumieją opacznie i nie znajdują w niej oferty rozwiązania bolączek i problemów z jakimi boryka się nasz Naród. Oczywiście, źródeł tego stanu rzeczy jest dużo, nie możemy zapominać choćby o liberalnej propagandzie, ex definitione anty-nacjonalistycznej, całej ofensywie marksizmu kulturowego, etc. To wszystko prawda, jednak śmiem sądzić, iż najgłębszym źródłem problemu jest przede wszystkim fakt, iż nacjonalizm jako ideologia i formacja na obecną chwilę przestał odpowiadać na wyzwania jakie stoją przed nami i przed Polską.

Trywialnym stwierdzeniem w tym kontekście będzie konstatacja, iż świat jako taki w ciągu ostatniego wieku niesamowicie się zdynamizował jeśli idzie o szybkość zachodzących zmian. Procesy, które kiedyś trwały latami albo dekadami, obecnie odbywają się wielokrotnie szybciej. Oznacza to, że sytuacja Narodu zmienia się równie dynamicznie. Tak więc każda opcja polityczna,

która pretenduje do decydowania o Narodzie, musi pod względem ideologicznym i programowym odpowiadać takiej sytuacji.

Czy nacjonalizm w Polsce odpowiada? Jak już powiedziałem – nie, a przynajmniej nie w wystarczającym stopniu. Po pierwsze nacjonalizm w Polsce w dalszym ciągu choruje na daleko posunięty historycyzm. Objawia się to przede wszystkim ogromnym przywiązaniem do ideologicznego i programowego kształtu idei narodowej w okresie międzywojnia. Oczywiście, Dmowski czy Mosdorf pozostają niezmiennie klasykami myśli narodowej, pamiętać trzeba jednak przede wszystkim o fakcie, iż od tego czasu minęło 80 lat. Problemy przed jakimi stała Polska w latach 20-stych i 30-stych w przeważającej większości są zamierzchłą przeszłością, pojawiły się za to nowe wyzwania i zagadnienia. Niestety, ogromna rzesza polskich nacjonalistów cały czas stara się przekładać jeden do jednego doktrynę i program nacjonalizmu okresu przedwojnia na czasy obecne. Skutek jest taki, że następuje rażąca niekompatybilność, w efekcie czego pozostają tylko sloganowe hasła, których można użyć na demonstracji czy w ramach propagandy (głównie zresztą teraz realizowanej w kanale social-media). Do tego dochodzi jedna z poważniejszych chorób polskiego nacjonalizmu, czyli historyzm w codziennej działalności – skupienie się przede wszystkim na kwestiach historycznych, wszelkiej maści upamiętnieniach i rocznicach. Nie jest to coś o czym powinniśmy zapominać, jednak skupianie się na tym, czy wręcz robienie z tematyki historycznej jedynego sensu działalności to duży błąd. Nosi to też znamiona braku pomysłu na realne i skuteczne działania, jak i niezrozumienie potrzeb Narodu. A przecież każdy chyba nacjonalista pretenduje do roli obrońcy i reprezentanta interesu narodowego.

Niedojrzałość, wynikająca zwykle z młodego wieku działaczy, to także częsty problem naszego rodzimego nacjonalizmu. Wspomniany historycyzm, ujmowanie konkretnych problemów w prostych, zero-jedynkowych schematach, które zwykle wypaczają temat, brak głębszej refleksji – to najczęstsze objawy owej niedojrzałości. Do tego nacjonaści w Polsce często działają pod wpływem impulsu czy emocji. Wystarczy wyczytany na wątpliwej jakości portalu news, obejrany fragment kiepskiego reportażu żeby natychmiast zacząć gardłowanie o tym czy innym zagrożeniu Polski – lewactwie, islamizacji czy ostatnio modnej ukrainizacji. Co ciekawe ci sami nacjonaści jako żywo nie wspominają lub wspominają bardzo rzadko o wyczerpaniu polskiego kapitału i gospodarki, niszczyielskim wpływie kapitalizmu dla Narodu, łamaniu praw pracowniczych etc. Śmiem sądzić, że te problemy są dużo ważniejsze niż wcześniej wymienione, choćby ze względu na to, że są prawdziwe.

Problemem nacjonalizmu w Polsce w kwestii zdobycia poparcia szerokich mas jest w największym chyba stopniu rozmijanie się retoryki nacjonalistycznej z dwoma płaszczyznami: problemami i oczekiwaniami zwykłych Polaków, oraz ogólnymi wyzwaniem i zagadnieniami rozwoju cywilizacyjnego. Przy tym ostatnim mam na myśli kwestie ekonomiczne, geopolityczne, technologiczne, społeczne a także kulturowe i ekologiczne. Coraz częściej i mocniej widać swoiste nożyce ideologiczne – o ile przed nami stoją wyzwania związane przykładowo z zanieczyszczeniem środowiska, coraz silniejszym naciskiem wielkiego kapitału na rządy narodowe, to środowisko nacjonalistyczne dalej lubuje się w popularyzowaniu Żołnierzy Wyklętych czy walką z gender. Nie neguję oczywiście tych kwestii, też są ważne. Jednak aby nasz nacjonalizm był faktycznie skutecznym i autentycznie sensownym sposobem na realizowanie interesów narodowych, nade wszystko musi stanowić odpowiedź na otaczające nas warunki i problemy. Coraz większy rozdźwięk między realiami w jakich funkcjonujemy jako Naród, a tym jakie tematy porusza rodzimy nacjonalizm, powoduje, że nacjonalizm w Polsce staje się coraz bardziej anachroniczny.

Także kwestie, które niejednokrotnie upodabniają nacjonalistyczne inicjatywy do zwykłych partii politycznych są czynnikiem podkopującym skuteczność działalności. Politykierstwo, kunktatorstwo, brak faktycznego radykalizmu i niejednokrotnie strach przed eksponowaniem stanowiska, które przez liberalną opinię uznane może być za niewłaściwe – to wszystko w oczach ludzi aż nazbyt przypomina to co mogą widzieć chociażby w Sejmie.

Pamiętać też musimy, że nie działamy w ideologicznej próżni. Poza nacjonalistami mamy cały szereg różnych nurtów ideowych i światopoglądowych, abstrahując już nawet od mainstreamu politycznego. Liberałowie, anarchiści, socjaliści i socjaldemokracja, wszelakie oddolne „obywatelskie” inicjatywy – do wyboru, do koloru. Problemem jest to, że spora część spośród tych ruchów działa nie tylko niezwykle dynamicznie, ale przede wszystkim ich program i postulaty są w dużej mierze odpowiedzią na te problemy, z jakimi ludzie stykają się w życiu codziennym. Kwestie lokatorskie, łamanie praw pracowniczych, nierówności płacowe, niszczenie środowiska naturalnego, sprawa darmowej komunikacji miejskiej – to tylko niektóre z naprawdę licznej grupy zagadnień poruszanych przez wymienione wcześniej środowiska. Oczywiście, ci sami ludzie zajmują się często łamanie „praw” osób LGBT, dostępem do tzw. aborcji czy choćby postulują przyjmowanie imigrantów. Można by rzec – na szczęście się tym zajmują. Bo szeroka rozumiana lewica i liberałowie głównie dzięki popieraniu takich kwestii, które są nieakceptowane przez

większość społeczeństwa, cały czas są mało popularni i rozpoznawani tylko przez wąskie grono odbiorców. Z drugiej strony można się spodziewać, że w środowisku choćby Partii „Razem” prędzej czy później ktoś uzna, że można wyciszyć wszelkie postulaty obyczajowe i moralne, a na afisz pchnąć przede wszystkim sprawy socjalne. Dla nas, o ile nie zmienimy obecnego stanu naszego środowiska, będzie to spory problem, gdyż tak funkcjonująca partia może szybko zdobyć poparcie, a z drugiej strony nie ma co oczekiwać, że zrezygnuje z postulatów obyczajowych (nawet mimo ich ewentualnego przesunięcia na drugi czy nawet trzeci plan).

Pytaniem retorycznym jest kwestia kto, jak nie my, powinien przede wszystkim stawać w obronie praw socjalnych Narodu? Jako nacjonaści stawiamy na pierwszym miejscu Naród i jego interes oraz prawa. Tak więc logicznym jest, że naszym obowiązkiem jako środowiska, jest prezentowanie, propagowanie i bronienie programu socjalnego i społecznego. Wspomniane kwestie jak wyzysk pracownika, płaca i stawka minimalna, prawa pracownicze, drenaż kapitału i odprowadzanie go przez wielkie korporacje za granicę – to wszystko powinna być przede wszystkim nasza retoryka.

Sporo krytyki wobec naszego środowiska i formacji światopoglądowej wylało się w powyższych akapitach. Nie chodzi mi jednak ani o uzalanie się nad stanem nacjonalizmu w Polsce, ani tym bardziej o krytykę dla samej krytyki. Tym bardziej nie jest moim celem atakowanie środowiska i ideologii, które sam współtworzę. Postulatem, który mi przyświeca jest przede wszystkim to, aby polski nacjonalizm stał się faktycznie ideologią na miarę naszych czasów.

Przede wszystkim jako formacja światopoglądowa nacjonalizm musi być dynamicznym, prężnym i na wszelkie bodźce reagować błyskawicznie i natychmiast. Nie mówię tu tylko o akcjach takich jak blokowanie spektaklu „Klątwa”, zwalczanie propagandy LGBT itp. – to oczywiście ważne i potrzebne. Jednak takim samym radykalizmem i bezpardonowością trzeba aby nacjonalizm wykazał się w tematach jak chociażby niszczenie polskiego środowiska naturalnego przez ministra Szyszkę, jak obchodzenie przepisów o płacy minimalnej przez nieuczciwych pracodawców czy w tematach związanych z szeroką tematyką lokatorską. Obecnie są to pola zagarnięte całkowicie przez środowiska lewicowe i liberalne, jednak śmiem twierdzić, że to nam, jako nacjonalistom najbliższej do ich realizowania i propagowania.

Wspominałem o swoistym zatrzymaniu się pod względem ideologicznym i doktrynalnym na latach 30-tych. Także tuta musimy „ruszyć z kopyta”, tj. zacząć tworzyć i promować ideologię nowoczesnego nacjonalizmu, który zarówno będzie odpowiedzią na obecną sytuację, jak i nie będzie się bał odwoływać do innych wzorów, niż Dmowski, Mosdorf czy Doboszyński. Codreanu i Żelazna Gwardia, Primo de Riviera i Falanga, GUD, ukraińskie organizacje nacjonalistyczne z Azowem na czele, Złoty Świt, RNR „Falanga” Piaseckiego – można by długo wymieniać, tu podaję zarówno historyczne, jak i współczesne ruchy, z których idei i doświadczenia czerpać możemy bardzo dużo i twórczo. Nie mówię oczywiście o kalkowaniu ich programów i poglądów w skali 1:1, ale o twórczej inspiracji i adaptowaniu tych aspektów i elementów, które są wartościowe i mogą ożywić nasz rodzimy nacjonalizm.

Także aktywność i działania nacjonalistów powinny zacząć wchodzić na te pola, na których do tej pory nie było nas wcale, lub w niewielkim zakresie. Akcje ekologiczne już teraz zaczęły się pojawiać (to cieszy), czekamy na działania jak chociażby pomoc pracownikom w walce z nieuczciwymi pracodawcami, przeciwdziałanie rynkowi i funkcjonowaniu tzw. „chwilówek” (legalna lichwa), blokowanie eksmisji, działania związane ze sprawami lokalnymi, udział w opracowaniu budżetów partycypacyjnych etc. Jestem pewien, że skoro nasi ideowi adwersarze, jak chociażby środowisko anarchistyczne, są w stanie takie działania realizować, to i my tym bardziej potrafimy się zdobyć na coś takiego.

Pisałem już wcześniej o tych problemach, które dla Polski obecnie są jednymi z najpoważniejszych: niski poziom zarobków, atomizacja społeczeństwa, nierówności płacowe, wyzysk pracowników i łamanie ich praw, drenaż kapitału, niszczenie środowiska naturalnego. Tak długo jak nacjonalizm nie wykształci całościowego, konsekwentnego i systematycznego programu naprawy sytuacji w tych aspektach, tak długo będzie postrzegany jako zabawa dla „bandytów i kiboli”. To zresztą, tak na marginesie zauważę, jeden z większych problemów naszego nacjonalizmu. Wbrew temu co czasem nam się wydaje, społeczeństwo uważa nas zwykle nie za „faszystów” czy „nazistów” a przede wszystkim za... idiotów. Jakby to nie zabrzmiało dla nas boleśnie, to niestety taka jest prawda. W oczach Polaków uchodzimy przede wszystkim za ludzi, którym właściwie nie wiadomo o co chodzi, za ludzi, którzy są niezwykle hałaśliwi, agresywni ale właściwie to niewiele z tego wynika. Ten stan rzeczy i sposób postrzegania nas musimy zmienić w pierwszej kolejności. Tym bardziej, że wynika to nie tylko z manipulacji mediów i polityków (choć po części też), ale z ogólnego odbioru nacjonalizmu, który z kolei wiąże się z tym o czym pisałem we wcześniejszej części artykułu. Krótko mówiąc: ludzie w nacjonalizm muszą uwierzyć i zobaczyć w nim

alternatywę dla mainstreamowych partii i środowisk. Dopóty dopóki to się nie stanie, PiS będzie wykorzystywał całą nacjonalistyczną retorykę i wygrywał ją dla umacniania swojego poparcia.

Nie bójmy się pójść do przodu w naszym nacjonalizmie. Jeśli wymaga tego sytuacja, a uważam, że wymaga, musimy zrobić wszystko aby ideę narodową wnieść na wyżyny, tak aby stała się autentycznym i kompleksowym sposobem na rozwiązanie problemów Narodu oraz jego rozwój. Anachroniczny podział „prawica-lewica” z tradycyjnym przyporządkowaniem nacjonalizmu do tej pierwszej jest także czymś, co musimy zwalczać na wszelkie sposoby. Idea nasza musi być na wskroś nowoczesna (w dobrym tego słowa znaczeniu) i dynamiczna, wyłamująca się z tego dychotomicznego podziału. Często mówimy o narodowym radykalizmie jako „trzeciej drodze” – do takiego stanu właśnie powinniśmy dążyć. Socjalne i pracownicze postulaty tradycyjne dla lewicy możemy bez problemu łączyć z postulatami obyczajowymi charakterystycznymi dla prawicy. Nie możemy bać się włączać do naszego programu jakiegokolwiek słusznego elementu, tylko dlatego, że tradycyjnie wykorzystują je środowiska obce lub wrogie nacjonalizmowi. Wręcz przeciwnie! Wszystko co służyć ma Polakom musi być przez nas sukcesywnie odbijane i przejmowane.

Wyłamanie się z tego skostniałego podziału („lewica-prawica”) nie tylko pozwoli pozyskać do działania nowych ludzi, ale dla zwykłych Polaków będzie jasnym sygnałem, że powstaje realna, ideologiczna alternatywa. Tylko tak zdefiniowany i funkcjonujący nacjonalizm będzie w stanie rozwinąć się i faktycznie oddziaływać na życie Narodu, a nie będzie zepchnięty w perspektywie kilku-kilkunastu następnych lat na coraz większy margines. Mamy obecnie naprawdę dobre warunki do działania. Zróbmy wszystko aby czas ten wykorzystać jak najlepiej i z nacjonalizmu stworzyć rzeczywiście tę siłę, której nasi wrogowie będą się faktycznie bali.

Witold Dobrowolski - „Dzień hańby”

8 maja 1945 roku umarła Europa. Zakończyła się agonია, którą we wrześniu 1939 roku rozpoczęły śmiertelne ciosy Hitlera i Stalina. Od tego momentu martwe ciało coraz bardziej się rozkłada. Faszizm zwyciężony! Rozbawieni czerwonoarmiści mijają ułożone specjalnie pod kronikę filmową ciała obrońców Reichstagu. Stolicy narodowo-socjalistycznego snu przed czerwoną nawałą bronili antykomunistyczni przedstawiciele niemal każdej narodowości. Nad obumarłym miastem łopotały już znienawidzone przez wolnych ludzi sztandary z sierpem i młotem. Był to przełom, kontynentem podzieliły się dyktatury - demoliberalizmu i komunizmu, zaś narody powoli ulegać zaczęły coraz większej degeneracji. Także w Polsce świętuje się dzień ósmego lub też dziewiątego maja, jak woła pogrobowcy czerwonego dyktatu, czyli tzw. „homo sovieticus”: hodowany ideał Nowego Człowieka, którego formacja wraz z klęską ideałów i korupcją socjalizmu i komunizmu została wstrzymana, a oni sami ulegli. W środowisku narodowym w Polsce świętowanie tej rocznicy jest przemilczane lub słusznie uważane za wymianę jednej okrutnej okupacji na drugą, inni pojmują go jako symboliczną śmierć Europy, a jeszcze inni dywagują, czy zwycięstwo Niemców, a nie Sowietów przyniosłoby Europie przetrwanie kosztem Polski? Podejmując tą problematykę trzeba działać na dwóch płaszczyznach: paneuropejskiej, oraz nacjonalistycznej z pozycji polskiej. W obu przypadkach można mówić jednak o II wojnie światowej jako wojnie antytradycjonalistycznych, antynarodowych sił zwalczających się wzajemnie kosztem narodów Europy, w tym także Polski.

Z pozycji paneuropejskiej, jak trzeba podkreślić radykalnie innej od polskiej, śmierć Europy jest faktem, który jest dostrzegalny na ulicach państw Zachodu. Monumentalne zabytki przypominające o dawnej świetności toną w multikulturowych, kulturowo marksistowskich społeczeństwach, wyzbywających się na każdym kroku swej tożsamości, tradycji, czy wartości duchowych. Bezsprzecznie większość ugrupowań nacjonalistycznych w Europie opowiedziało się po stronie Niemiec kierując się swoim interesem narodowym. Chętnie skorzystano z pomocy części z nich, inni mimo proniemieckich sympatii zostali odsunięci (liderzy polskiego NOR rozstrzelani w 1940 roku, liderzy ukraińskiego OUN-B, czy Żelaznej Gwardii uwięzieni w obozach koncentracyjnych). Znamy dzisiaj powody współpracy z Niemcami cenionego bezsprzecznie wśród także polskich nacjonalistów Leona Degrelle. Reksiści pogodzeni z nowym porządkiem sił w Europie, w której bezsprzecznie dominowała już niemiecka Rzesza i nic nie zwiastowało tego, by ten porządek nie mógł się utrzymać, postanowili działać w ramach ochotniczych antykomunistycznych formacji na froncie wschodnim. Wykazali się swoją fanatyczną i heroiczną walką, co miało prowadzić do zachowania chociaż pewnej autonomii dla Belgów w powojennym układzie europejskim. Podobnie

postąpili holenderscy nacjonaści, którzy przecież początkowo w obliczu niemieckiej inwazji byli gotowi walczyć przeciwko agresorowi, jednak zostali internowani przez francuskie wojska, które ich oraz Belgów więziły, torturowały i rozstrzeliwały. Trudno tu wyrażać niezrozumienie, że alianci zaczęli być po takich czynach postrzegani jako równi, a nawet większy wróg od hitlerowców, którzy dali tamtejszym nacjonalistom pewną swobodę działalności. We Francji sformowany kolaboracyjny rząd zaczął wcielać w życie nacjonalistyczne idee, a francuscy monarchiści, nacjonaści i konserwatyści w dużej mierze opowiedzieli się po jego stronie, pamiętając o skorumpowanym przedwojennym rządzie, który kazał ich protesty topić we krwi. Inne narodowości jak Słowacy, czy Chorwaci dzięki Niemcom otrzymały swoją państwowość. III Rzesza wykorzystywała także wyzwolenczą retorykę formując legiony ochotnicze do walki z Sowietami złożone z Estończyków, Łotyszy, Ukraińców, Rosjan, Białorusinów, którzy walczyli marząc o własnych państwach, bądź autonomii w powojennej rzeczywistości. Dzisiaj wiemy, że hasła o wspólnej krucjacie europejskich narodów przeciwko bolszewizmowi były głównie ze strony hitlerowców użyteczną propagandą. Pomijając fakt, że ten mit jest wśród wielu nacjonalistów w Europie silny, co też nie jest wcale dziwne biorąc pod uwagę wcześniej wymienione aspekty. Jak miałyby wyglądać los Europy po zwycięstwie III Rzeszy? Nacjonaści pokroju Degrella dążyli do zachowania pewnej niezależności swoich narodów. Nie jest łatwo odpowiedzieć na pytanie czy rzeczywiście ta niezależność byłaby im dana przez zwycięzców. Jednym z podstawowych elementów, jaki miałyby wpływ na taką alternatywną przyszłość, jest to kiedy i czyimi rękoma zostałoby zrealizowane niemieckie zwycięstwo. Krótko mówiąc: czy stałoby się to już wraz z upadkiem Moskwy w 1941 roku, czy też w okresie późniejszym, gdy formacje Waffen-SS zaczęły się składać w dużej mierze z cudzoziemców, a III Rzesza była dotknięta już de facto katastrofą demograficzną w wyniku strat wojennych. Jest to oczywiście popadnięcie już w gdybanie typu: „Co by było jeśli” i odpowiedzi na to pytanie udzielane przez wielu nacjonalistów w Europie byłyby zależne od przekonań ideologicznych i stosunku do III Rzeszy. Na podstawie pewnych tendencji polityki Berlina, oraz źródeł badawczych możemy mniej więcej przewidzieć jak wyglądałby nowy porządek. Przykładowo wśród norweskich narodowych socjalistów zaistniał pewien podział. Stronnicy Quislinga, którzy dążyli do zachowania pewnej autonomii względem Berlina, proponowali nawet powstanie unii narodowo-socjalistycznych państw skandynawskich w przyszłości, co spotkało się z negatywną reakcją Hitlera. Z drugiej strony część norweskich narodowych socjalistów była pod wpływami Himmlera i dążyła do germanizacji swojego narodu i przyłączenia się w przyszłości do jednego germańskiego państwa. Podobne konflikty między kolaborującymi istniały w Danii, czy Holandii. Możemy z dużą pewnością powiedzieć o tym, że w powojennym porządku wiele narodów miało zostać rzeczywiście wchłoniętych poprzez germanizację, czy fizyczną eksterminację i stać się historią. Rola chrześcijaństwa będącego

fundamentem Cywilizacji Łacińskiej miała zostać w najlepszym razie bardzo ograniczona, a fundamentem duchowym w nowym porządku miało zostać germańskie neopogaństwo z pierwiastkiem Tradycji odwołujące się do Europy przedchrześcijańskiej. Nie dowiemy się już na ile ta Nowa Europa byłaby stabilnym tworem, jednak trudno zaprzeczyć, że mimo kosztu wielu potworności, byłaby ona pozbawiona wielu patologii znanych w demoliberalnych przesiąkniętych marksizmem kulturowym społeczeństwach. Być może stanęłaby przed innymi równie trudnymi wyzwaniem, jednak z dzisiejszej perspektywy jesteśmy zdolni zrozumieć przeciw czemu walczyli ochotnicy legionu walońskiego i Charlemagne, oraz do jakiego stanu doprowadziła ich państwa klęska III Rzeszy, czyli dominacja komunizmu i demoliberalizmu w Europie.

Z pozycji nacjonalistycznej polskiej jest dosyć oczywistym postrzeganie zwycięstwa aliantów i ich moskiewskich sojuszników nad III Rzeszą jako zamiany jednej okupacji na drugą. Wielu Polaków obawiało się, że zwycięstwo Sowietów nie przywróci Polsce nawet marionetkowej państwowości, a wspomnienie okupacji wschodnich polskich ziem 1939-1941 przez komunistów, zbrodni katyńskiej wraz z doświadczeniami przedwojennymi, gdy na terenie ZSRR miało miejsce ludobójstwa na różnych narodowościach sięgające nawet 8 milionów ofiar nie zwiastowało tego, żeby polityka stalinistów wobec opornych narodów miała się zmienić. Ostatecznie państwo marionetkowe powstało i rządzone było w totalitarnym stylu, gdzie opornych i patriotów mordowano, wysyłano na Sybir. Jednak polskiego narodu eksterminacji nie poddano, ani nie zrusyfikowano. Stalin postawił na kartę polską, by posiadać sojusznika w ewentualnej wojnie z aliantami, wyrażając w ten sposób rozsądek, na który nie zdobył się Hitler okupując Polskę. Prawdą jest, że Polaków czekał w przypadku zwycięstwa III Rzeszy bardzo niepewny los. Nawet powołując się na popularny w internecie, rzekomy list Hitlera do Himmlera, gdzie Polacy zostają uznani za naród wartościowy rasowo, oznaczałoby to tylko przymusową germanizację polskiego narodu, w innych bardziej prawdopodobnych przypadkach wielu Polaków poddano by fizycznej eksterminacji, a pewną część zgermanizowano, by stworzyć na wschód od Berlina przestrzeń życiową dla Niemców, gdzie planowano stworzenie systemu feudalnego opartego na rasie. Do takiego wniosku można dojść na podstawie obecnego stanu badań, oraz doświadczeniach niemieckiej okupacji. Prawdą jest, że część niemieckich elit stawiała na współpracę z Polakami. Możemy natknąć się na plany stworzenia państwa szcątkowego z rządem, na którego czele miał stanąć Wincenty Witos, niezbadany jest temat prób powołania polskiej formacji ochotniczej po stronie Niemców. Ciekawym aspektem jest też radykalna zmiana polityki Hansa Franka ze skrajnie antypolskiej do coraz bardziej umiarkowanej, próbującej nawiązać współpracę z Polakami. Trudno ocenić na jak wysokim szczeblu zaczęto stawiać na ową współpracę, jednak jest dosyć oczywistym, że główny wpływ na to

miała mieć zbliżająca się do polskich terenów i równocześnie III Rzeszy linia frontu. Abstrahując od oceny polityki Becka, tego czy londyński rząd działał w interesie polskiego narodu to na wysiłek polskich berlingowców, którzy wspierali Sowietów wprowadzających na polskim terytorium okupację należy patrzeć ze smutkiem, bowiem byli po prostu narzędziem w rękach antypolsko nastawionego mocarstwa, tak jak Łotysze w legionie ochotniczym byli takim narzędziem w rękach niemieckich. W żadnym wypadku na sztandar z sierpem i młotem w ruinach Berlina nie należy z pozycji polskiej patrzeć z radością. Masowe gwałty, grabieże, morderstwa dokonywane przez jednostki liniowe Armii Czerwonej, czystki na „wrogach ludu” przeprowadzane przez oddziały NKWD, ogołocenie fabryk z maszyn i elementów infrastruktury i wprowadzenie totalitarnego czerwonego reżimu, tego symbolem właśnie jest ten powiewający nad Berlinem sztandar. Czasem różne środowiska lewicowe starają się tu wybielać ten reżim mówiąc o „dobrodziejstwach socjalizmu” jak rzekomej likwidacji analfabetyzmu, który w 1939 był de facto zwalczony, jednak 6 lat zakazu edukacji przez władze niemieckie musiało odcisnąć pewien efekt na okres powojenny. Z tym problemem Polacy by sobie poradzili i bez stalinowskiej „pomocy”. Destrukcyjne efekty sowieckiej okupacji nie ominęły spośród dotkniętych nią narodów Europy także Polaków, którzy szybko po demontażu socjalistycznego systemu zostali zdominowani przez demoliberalny system i wpływ innych państw. Pozostaje na razie bez odpowiedzi pytanie, czy Polaków czeka również wynarodowienie i zniszczenie tradycji, tożsamości, a nawet kwestii duchowych poprzez degradację wywołaną coraz silniejszą presją na Polskę przyjmowania „dobrodziejstw” systemu multikulturowego i demoliberalnego. Byłby to chichot historii, gdyby to co nie udało się Hitlerowi, udało się kulturowym marksistom.

Degeneracja ta rozpoczęła się bezsprzecznie inwazją Hitlera i Stalina na Polskę, która wywołała zarówno z perspektywy pan-europejskiej jak i polskiej największą wojnę domową w Europie między białymi narodami. A wojna ta i symboliczny jej koniec w maju 1945 roku wydaje się, że można uznać jak najśluszniej za śmierć Europy. Bowiem liberalizacja Kościoła, rewolucja 1968 roku, zatracenie świadomości rasowej i narodowej, przejście konserwatystów do stałej pozycji defensywnej to wszystko jest echem tej wojny. Stara Europa obumarła. Czy jednak nie była już wcześniej skazana na śmierć? Nacjonałści międzywojnia bezsprzecznie byli szowinistyczni, egoistyczni, ci polscy - nastawieni antyniemiecko, antyczesko, antyukraińsko, antylitewsko. Niemal każde stronnictwo nacjonalistyczne opierało się na niechęci do swoich sąsiadów. Biorąc pod uwagę te cechy - gdyby nie było Hitlera to czy do wojny domowej w Europie i tak by doszło? Trudno na te pytanie jednoznacznie odpowiedzieć, jednak pewnym jest, że jeśli Europa ma zmartwychwstać to

obecnie jedynie nacjoniści są tą stroną, która może tego rzeczywiście dokonać. By tego dokonać muszą być zjednoczeni ucząc się na błędach swoich przodków.

Marta Niemczyk - „Zieloni, czerwoni, brunatni”

„Ruch ekologiczny, zwany również - nie całkiem słusznie - ruchem zielonych, ma swoje korzenie w młodzieżowej rewolucji końca lat '60 ubiegłego wieku. Trudno się temu dziwić; gloryfikujący życie w zgodzie z naturą, wolny seks, związki otwarte hippisi byli idealnym materiałem na obrońców środowiska.”[1] – tak utożsamiany z prawicą politolog Bogdan Pliszka utrwała powszechne przekonanie, jakoby ochrona środowiska była domeną „lewaków”. Historia niemieckiego ruchu ekologicznego ostatnich dekad pokazuje, że pierwsi „zieloni” – w kwestii natury niemniej bezkompromisowi niż współcześni – wcale nie walczyli o aborcję, multikulturalizm i prawa LGBT.

W latach '70, na fali antynuklearnych protestów, w RFN powstały tysiące oddolnych inicjatyw na rzecz ochrony środowiska naturalnego. Wśród nich znalazł się m.in. Związek Młodzieży Wiernej Ojczyźnie (BJH), „Zielona Lista” utworzona w Nadrenii-Palatynacie z inicjatywy Narodowodemokratycznej Partii Niemiec (NPD), a przede wszystkim Zielona Akcja Przyszłość (Grüne Aktion Zukunft, GAZ) z Herbertem Gruhlem na czele. Były polityk Chrześcijańskiej Unii Demokratycznej (CDU), po wystąpieniu z partii m.in. z powodu jej poparcia dla energetyki jądrowej, zaangażował się w ruch ekologiczny[2]. Jego książka „Płądrowana planeta” (1975) okazała się bestsellerem, a powołana w 1978 roku Zielona Akcja Przyszłość została pierwszą partią federalną programowo odwołującą się do idei ochrony środowiska.

W 1979 roku podjęto próby utworzenia „zielonej” koalicji od prawa do lewa. W rozmowach, oprócz Zielonej Akcji Przyszłość, po „prawej stronie” uczestniczyła m.in. nacjonalistyczna Wspólnota Działania Niezależnych Niemców (Aktionsgemeinschaft Unabhängiger Deutscher), Zielona Lista Ochrony Przyrody (Grüne Liste Umweltschutz), czy Zielona Lista Szlezwika-Holsztynu (Grüne Liste Schleswig-Holstein). Owocem porozumienia było powołanie koalicji Zieloni-Odmienne Zrzeszenie Polityczne (Die Grünen). Jak pisze Tomaszewicz, w początkowym okresie, koalicja była „autentycznie nowa i autentycznie wielonurtowa, lokująca się ponad tradycyjnymi podziałami na prawicę i lewicę”[3], co doskonale oddaje wykorzystywane przez nią hasło: Ani w prawo, ani w lewo tylko do przodu.

Rodzący się ruch ekologiczny, utożsamiany jeszcze wówczas z prawicą nie uszedł uwadze skrajnej lewicy: Grupa Międzynarodowych Marksistów (GIM) pisała o „trzodzie wyborczej burżuazyjnych obrońców środowiska”, Komunistyczna Partia Niemiec – Marksści-Leniniści (KPD-ML) określała

ich jako „pomocniczy oddział reakcji”. Wpływowy lewicowy dziennik „Le Monde” jeszcze w 1981 roku pisał: „Ekologia polityczna (...) jest niebezpieczna o tyle, że implikuje ideologię naturalistyczną. (...) Czy temat społeczeństwa zorganizowanego zgodnie z prawami natury nie budzi przerażenia i ponurych skojarzeń? (...) Jak można atakować maniaków ilorazu inteligencji i apologetów dziedziczności, kiedy tak jak oni chyli się głowę przed naturalnym porządkiem rzeczy? (...)”. Prędko jednak zmieniono zdanie.

W 1980 roku, podczas zjazdu Zielonych, staraniem lewicowej części działaczy zezwolono na podwójne członkostwo, wskutek czego mogli oni oficjalnie zasilić szeregi Die Grünen (od tego samego roku oficjalnie partii politycznej). O ile w początkowej fazie istnienia Zielonych, tylko 15% członków deklarowało swoje poglądy jako lewicowe, do 1986 roku wśród przywódców i aktywistów aż 35% należało uprzednio do organizacji, takich jak Komunistyczna Partia Niemiec (KPD), Niemiecka Partia Komunistyczna (DKP) czy Rote Hilfe. Nie dziwi więc utopijny program gospodarczy, czy nacisk na sferę obyczajową. Przedstawiciele „prawego” skrzydła Zielonych usuwano jako „faszystów”, sam Gruhl zaś stracił stanowisko przewodniczącego i wkrótce wraz z nim, partię opuściła 1/3 członków tworząc konserwatywną Partię Ekologiczno-Demokratyczną (Ökologisch-Demokratische Partei, ÖDP).

W zamyśle lidera, ÖDP miała pozyskiwać dla ruchu ekologicznego wyborców z prawego skrzydła sceny politycznej[4]. Program partii łączył w sobie postulaty ochrony środowiska naturalnego z postulatem ochrony życia od poczęcia do naturalnej śmierci, sprzeciwem wobec masowej imigracji, małżeństw homoseksualnych, czy wobec radykalnego feminizmu. W kwestiach ochrony środowiska pozostawał jednak bliski Zielonym. Partia wsparła chociażby wprowadzenie tzw. podatku ekologicznego. Wobec braku sukcesów politycznych, Gruhl i tym razem stracił stanowisko przewodniczącego. Mówiono o nim, jako o „fanatyku niezdolnym do kompromisu”, którego radykalizm i katastrofizm skazał na polityczne osamotnienie[5]. Na krótko przed śmiercią w 1993 roku powołał ponadpartyjny ruch społeczny Niezależni Ekologowie Niemiec (Unabhängige Ökologen Deutschlands) skupiający prawicowo-konserwatywnych ekologów, których ideę wyrażało hasło: „Ekolodzy i obrońcy ojczyzny płyną w jednej łodzi”[6].

Na tym nie koniec. Partia Ekologiczno-Demokratyczna działa do dziś, ciesząc się ok. 2-procentowym poparciem, głównie w Bawarii. W 2014 roku wprowadziła swojego przedstawiciela do Parlamentu Europejskiego (Klaus Buchner). Od lat 90. na obszarze Meklemburgii zaczęły powstawać

ekologiczne gospodarstwa rolne, zakładane – jak donosi The Guardian – przez „skrajnie prawicowych ekstremistów”[7]. Hodują ekologiczne warzywa i owoce, wytwarzają pieczywo z własnej pszenicy, produkują nawet „niemiecki miód”! – alarmuje brytyjski dziennik. Administracja Nadrenii-Palatynatu wystosowała nawet profilaktyczną broszurę, w której tłumaczy miejscowym rolnikom, jak oprzeć się „faszystowskiej infiltracji” ich szeregów. Z kolei wydawane od 2007 roku pismo „Umwelt und Aktiv” posądzane bywa o to, że stanowi „kamouflaż dla NPD” i jej niecznych planów przejścia elektoratu Zielonych. Wśród porad ogrodniczych i wyników badań nad skutkami spożywania mleka modyfikowanego, gazeta ma przemycić nacjonalistyczne treści[8][9]. Chciałoby się wierzyć, że to prawda.

Na sam koniec warto wspomnieć, chociażby dla przyzwoitości, o polskiej próbie stworzenia „zielonego sojuszu ekstremów”. We wrześniu 1999 roku, podczas II Kongresu Opozycji Antysystemowej w Wałbrzychu podjęto próby utworzenia wspólnej płaszczyzny działania środowisk antyglobalistycznych i euroseptycznych. W obradach, oprócz przedstawicieli Federacji Anarchistycznej, Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego, Stowarzyszenia „Ekofront”, Pracowni Na Rzecz Wszystkich Istot, czy Stowarzyszenia Ekologiczno-Kulturalnego Klub „Inaczej”, zjawili reprezentanci Stowarzyszenia na rzecz Tradycji i Kultury „Niklot”, Polskiej Wspólnoty Narodowej Bolesława Tejkowskiego, Organizacji Monarchistów Polskich, Polskiego Oddziału Soboru Wszechsłowańskiego, Stowarzyszenia Świąszczyca, Rodzima Wiara, a także przedstawiciele redakcji pism: „Wspólnota”, „Rojalista - Pro Patria”, „Trygław”, „Odala”, „Securius”[10]. Powołano wówczas Konfederację Dla Naszej Ziemi, która prędko zmarła śmiercią naturalną. Zwolennikom porozumienia (wśród nich Remigiusz Okraska[11], Olaf Swolkień[12]) oberwało się od towarzyszy z lewej strony – przede wszystkim za zdradę[13] i umożliwienie faszystom infiltracji środowiska (sic!) ekologów[14]: „albo zieloni, albo brunatni, tertium non datur”. Wobec tego, na czerwonych tym bardziej nie powinno być miejsca.

<http://www.psz.pl/124-polityka/bogdan-pliszka-zielono-mi--od-ochrony-srodowiska-do-ekofilozofi>
(dost. 19.05.2017)

Tomasz Gabiś, Patron konserwatywnej ekologii, „Opcja na Prawo” nr 5 maj 2002

Jarosław Tomaszewicz, Zgniłozieloni. Pouczająca historia federalnej partii Die Grünen, „Zielone Brygady” nr 5 (35) 1992

Rafał Łętocha, Ekonomia współdziałania. Katolicka nauka społeczna wobec wyzwań globalnego kapitalizmu, Kraków 2016, s.83.

Tomasz, Gabiś, Patron konserwatywnej ekologii...

Jarosław Tomaszewicz, Zgniłozieloni. Pouczająca historia federalnej partii Die Grünen, „Zielone Brygady” nr 5(35) 1992

<https://www.theguardian.com/world/2012/apr/28/germany-far-right-green-movement> (dost. 22.05.2017)

<http://www.geo.de/natur/oekologie/4111-rtkl-rechte-oekos-braun-oder-gruen> (dost. 23.05.2017)

http://blog.zeit.de/stoerungsmelder/2008/08/29/grun-oder-braun-zum-nationalistischen-okomagazin-%E2%80%9Eumwelt-und-aktiv%E2%80%9C_387 (dost. 22.05.2017)

Marzena Dobner, Narodowy ekologizm? Zarys problematyki, „17 – Cywilizacja Czasów Próby”, nr 2/2009, s.9.

Remigiusz Okraska, XIX-wieczne idee, XX-wieczne manipulacje, „Dzikie Życie” nr 5/71 2000

Olaf Swolkień, Jelonek Antyfaszystowski, „Zielone Brygady. Pismo Ekologów” nr 3 (148) 2000.

Monika Gorzelańska, O tym jak jedno bagno – UE, wcale nie jest gorsze od drugiego bagna – współpracy ze skrajną prawicą, „Źródła” nr 17 1999

Sławomir „Vege” Czapnik, Zielono-brunatni?, „Dzikie życie” 3/69 2000

Tomasz Dryjański - „Ani kroku w ty!”

Dwa lata temu walczyliśmy z bluźnierczą pseudosztuką Golgota Picnic, której wątpliwa „kariera” zaczęła się od festiwalu na poznańskiej Malcie, obecnie w stolicy trwają protesty przeciwko równie śmierdzącej Klątwie. Degeneracja środowisk teatralnych to akurat nic nowego, również w Poznaniu miewaliśmy ciekawe „przedstawienia” poświęcone postaciom Dmowskiego i Mosdorfa. Nie mam zamiaru streszczać tych wątpliwej jakości „przedstawień”, ważne, że oba spektakle bluźnierczych rzygówin „artystów” spotkały się ze zdecydowaną reakcją ze strony naszego środowiska. Pokazaliśmy, że na pewne rzeczy zgody nie ma, oczywiście.

Ostatni rok to także olbrzymi czarny protest, fala protestów organizowanych przez najróżniejszej maści feministki i liberalne lewactwo zmobilizowała dziesiątki tysięcy niezaangażowanych w politykę kobiet, szambo poparły oczywiście tłumy ludzi tak zwanej „kultury”. Te wydarzenia wspominamy jako zimny prysznic, po sukcesie MN-u uwierzyliśmy, że ulica należy do nas, to my jesteśmy jej głosem, ale nigdy nasze manifestacje nie osiągnęły podobnych rozmiarów, kiedy organizowaliśmy protesty po samorządówce czy aferze taśmowej, a nawet przeciw imigrantom frekwencja była wielokrotnie mniejsza, nie potrafiliśmy zmobilizować normików. Tymczasem drugiej stronie się to udało wmawiając Polkom, że projekt ustawy chroniącej życie poczęte odbiera im wolność, zakazuje badań prenatalnych, a tak w ogóle to będą umierały w męczarniach, no cóż, niektórzy wierzą, że seriale paradokumentalne dzieją się naprawdę. Czarny protest dzięki wsparciu mediów i celebrytów, a także umiejętnego budowania klimatu strajku kobiet i obrony zagrożonej wolności przybrał olbrzymie rozmiary i wuchcie Polek wyrobił zdanie na temat dopuszczalności aborcji, w tym czasie wszyscy – działacze pro-life, nacjonaliści, Kościół i prawica wykazali się straszną biernością, mając szansę zaostrzenia ustawy aborcyjnej (bo w przyjęcie jej w formie proponowanej przez Ordo iuris nikt nie wierzył) nie zrobiliśmy praktycznie nic, kontry były niemrawe, ze śmieszną frekwencją, bez jakiegokolwiek koordynacji. Oddaliśmy teren praktycznie bez walki.

Pierwsze parady części rowerowych były zakazywane przez władze, w Poznaniu decyzję podjął prezydent z nadania Platformy, a podtrzymał wojewoda z... SLD. Dzisiaj parady są traktowane jako coś „normalnego”, a prezydent miasta (z Platformy) wiesza w centrum tęczowe szmaty. Kontry również wyglądały bardzo ładnie, tą z 2005 oglądałem na własne oczy i miała piękny klimat. Minęło 12 lat, zmieniło się społeczne postrzeganie pedalstwa, dzisiaj pedały kojarzą się z

wykształconymi i kulturalnymi bohaterami serialu TVP, a nie półnagimi debilami z piórami w tyłku. Dlatego wiara (pomijając społeczności osiedlowe i parafialne) coraz częściej patrzy na nich z tolerancją, często nawet osoby związane z Kościołem protestują przeciwko nazywaniu pedałów pedałami bo to nienawiść. Nic dziwnego, że nasze kontry są kiepsko odbierane, zresztą trzeba przyznać, że wyglądają coraz słabiej.

Przed gdańską paradą dewianci umieścili na figurze Jezusa Miłosiernego tęczyowy karton z cytatem o miłowaniu bliźniego. Oczywiście zapomnieli, że Jezus kazał się nawracać, jawno grzesznica miała iść i nie grzeszyć więcej, a św. Paweł pisał rzeczy po przeczytaniu których byłoby im smutno. Miłość bliźniego nie oznacza tolerancji dla grzechu, tak samo jak dbanie o higienę nie oznacza taplania się w błocie. Ofiarą dewiantów padł też pomnik marszałka Piłsudskiego.

To jest wojna! Walczymy przeciwko postępującej degeneracji społeczeństwa – aborcji, pedałom i bluźnierstwom promowanym jako „sztuka nowoczesna”. Na wojnie nie ma miejsca na jakiegokolwiek ustępstwa w stylu brytyjskich konserwatystów (z Thatcher i Cameronem na czele) i włoskich chadeków. Wszelkie Klątwy, czarne protesty i promowanie pedałstwa muszą spotykać się ze zdecydowaną reakcją. Wystarczająco dużo czasu i pola już straciliśmy. Ani kroku w tył!

Tomasz Dryjański - „Liberalne szambo”

Pewien znany korwinista/chrześcijański randysta/nowoczesny endek/vice-Dmowski nawołuje do budowy „szerokiego porozumienia narodowców, katolików, wolnościowców, antysystemowców, sebiksów, piwniczaków, palaczy zielska i widzów Mariana&Pastora pod przewodnictwem męża opatrnościowego polskiej prawicy, wybitnego artysty, wojownika o jednookręgowe mandaty wyborcze (czy jakoś tak) Pawła K.”. Nie ma w tym nic zaskakującego, podobne wezwania słyszymy od lat, wcześniej podobną rolę miał pełnić pan w muszce, ale niestety nie umie śpiewać.

Powtórzę to co każdy Czytelnik Szturmu wie od dawna - nie ma zgody na jakiegokolwiek wchłonięcie ruchu nacjonalistycznego przez liberalne szambo. Jesteśmy nacjonalistami i nic nas nie łączy z bredniami o wolnym rynku paróweczek czy jowach jako leku na HIV.

Zwolennicy tak egzotycznych mariaży mają jeden żelazny argument – tylko dzięki Kukizowi/Korwinowi/Petru/Palikota można liczyć na poselskie diety. Czyli sprawa jest jasna, nie liczy się Idea ważne, żeby dorwać się do złoba. Oczywiście teorie, że prawdziwy radykał powinien brzydzić się polityką świadczą o mentalnym gimnazjum, chcąc realnie wpływać na to jak wygląda państwo musimy brać czynny udział w życiu politycznym. Jednak nie możemy zapominać, że sejm jest środkiem, nigdy celem. Kilka mandatów i stanowiska dla paru osób nic nam nie dadzą jeżeli posłowie uznają, że „nacjonalizm źle się Polakom kojarzy” i przejdą na pozycje liberalnej prawicy. Schetyna kiedyś powiedział, że do biznesu idzie się dla pieniędzy, a do polityki dla naprawdę dużych pieniędzy.

Niektórym zdecydowanie zbyt mocno imponuje prawica, która od kilkadziesiąt lat przegrywa w Europie wszystko co jest do przegrania, za każdym razem będąc zadowolona z kompromisu. Są stolki, sondaże ładnie wyglądają, a że uchodźcy, aborcja i części rowerowe? Kogo to obchodzi! Aborcję we Włoszech wprowadziła prawica! Depenalizacja części rowerowych w Wielkiej Brytanii to zasługa Iron Bitch - znanej aborcjonistki i liberałki niszczącej życie milionów robotniczych rodzin, „małżeństwa” dewiantom dał konserwatysta Cameron. Dzisiaj zachodnioeuropejska prawica głosi postulaty, których 20-30 lat temu nie ośmieliłoby się podnieść nawet najradykalniejsze lewactwo.

Najnowszym przykładem czym kończą się sojusze z prawicą i liberałami jest powstanie .ndecji, grupa niedawnych narodowców (trudno w to dzisiaj uwierzyć, ale niektórzy kiedyś robili mega robotę) dzisiaj ustami swojego prezesa odcina się od nacjonalizmu, który „źle się kojarzy Polakom”, grajek, w którym widzą męża opatrnościowego chce przyjmować tak zwanych „uchodźców”, ale oni nawet nie pisną bojąc się utraty miejsc na listach. Marine Le Pen dotarła do II tury wyborów prezydenckich we Francji popierając aborcję i części rowerowe, wycięła z partii wszystkich ideowców na czele z własnym ojcem, wszak radykalizm źle wpływa na słupki poparcia. Znany .ndeckie poseł toleruje cyklistów, którzy się nie afiszują, a jego znany ze śpiewania o zbliżającym się proboszcz, którego pobiegnie przywitać, wódz chce przyjąć kilkadziesiąt tysięcy uchodźców z Syrii. Niedawni narodowcy nie potrafią także poprzeć najważniejszych dla polskich rodzin spraw czyli płacy minimalnej i 500+.

Patrząc na zaprzaństwo .ndeków trudno uwierzyć, że ktoś może na poważnie domagać się sojuszy z Korwinem i Kukizem. Ale takie są skutki marzeń o karierze politycznej dwudziestolatków, którzy widzieli kolejne klęski i kampanię prezydencką lubelskiego analfabety. Zabrakło czasu na realną formację, sukces Marszu Niepodległości przerósł wszystkich.

Mamy dwie opcje, budować własną siłę i kiedy będziemy gotowi jako dojrzały ruch wejść do poważnej polityki, albo zostać prostytutką prawicy, która czasem powie coś o Kresach, ale i tak Drugą drogę obrali .ndecy i niech na zawsze pozostaną przestrożą czym kończy się składanie hołdów lennych prawicowym Palikotom, nawet jeżeli ładnie śpiewają.

Leon Zawada - „Prometeizm jednostki”

Marzyłem o wieku Rycerzy, silnych i szlachetnych, którzy najpierw odnoszą zwycięstwo nad sobą, a dopiero potem nad innymi. - Leon Degrelle

W pędzie czasu każdy moment stawia wyzwania. Zębatki na toczących się w nieskończoność kołach historii to opowieści o innych bitwach, bohaterach i męczennikach. Camelot, najznamienitszy zamek Avalonu w legendach arturiańskich, miał 150 rycerzy, którzy pod wodzą Lancelota z Jeziora odpierali saską inwazję oraz poszukiwali Świętego Graala. I chociaż paladynem broniącym swojej ojczyzny nie udało się odnaleźć kielicha, z którego w dniu Ostatniej Wieczery pił Jezus Chrystus to w innym momencie, kto inny, odnalazł równie ważną relikwię. Przedmiotem tym była włócznia, którą według Legendy posłużyć się miał rzymski żołnierz, aby przebić bok Zbawiciela cierpiącego na Golgocie. W 290 roku posiadaczem włóczni został rzymski oficer legii tebańskiej. Chrześcijanin ten, znany dziś jako Święty Maurycy, nie godząc się na oddanie czci pogańskim bogom poległ męczeńską śmiercią wraz z całym swym legionem. Krew i pot bohaterów, którym w imię Sprawy przyszło poświęcić swoje życie głęboko wsiąkł w mury i ziemię. Pamiętając o nich nie zapominajmy, że nie każdy kto dokonał przełomu musiał zginąć jako męczennik. Co więcej, nie każdy musiał być znany w ogóle. Być może nie jesteśmy świadomi, w jak wielu wypadkach o losie dziejów zdecydował wysiłek szeregowych żołnierzy, zwykłych pracowników i innych, których nazwisk nie zapamiętały podręczniki. Pójdźmy dalej, być może cywilizacja zawdzięcza swe istnienie jednej matce wychowującej swoje dzieci w zgodzie z określonym ideałem. Być może jednemu klasztorowi, w którego murach wymodlono kolejne zwycięstwa. W końcu łańcuch jest tak mocny jak jego najsłabsze ogniwo. Każdy z nas został powołany do życia. Nie wierzę, żeby ktokolwiek mógł zostać powołany do samej egzystencji. Do procesu biologicznego opierającego się tylko na możliwie przyjemnym przeżyciu tych kilkudziesięciu lat. Założenie takie, chociaż opiera się na braku przekonań, umacnia obecny system. Globalny materializm oderwał człowieka od ziemi zamieniając go w ludzki kapitał. Zniszczył tożsamość opartą o więzy z innymi, podobnymi sobie, z ludźmi którzy byli przedtem i tymi co nadejdą później. Postnowoczesny człowiek to istota zamknięta w kręgu posiadania, jednocześnie oddalona od kręgu najbliższych. To człowiek marzący o tym aby posiadać ziemię, nie rozumiejąc przy tym, że ziemia też powinna posiadać jego. Dla nacjonalisty największym wrogiem jest postmodernistyczny globalizm. Nacjonalista występuje przeciwko jego dzieciom – masowej imigracji, niesprawiedliwym warunkom pracy, degradacji środowiska naturalnego czy niszczeniu rodzimej kultury. Musi on jednak wiedzieć, że trzeba najpierw udoskonalić samego siebie. Nie

można wierzyć utopistycznym wizjom. Widzenie własnego ja tylko i wyłącznie w roli wielkiego przywódcy albo męczennika ginącego z karabinem i różańcem w ręku to tylko pyszny egoizm. Ideał przyświecający nowoczesnemu idealizmowi wymaga głębokiej zmiany całego systemu. Wymaga sprawiedliwych pracodawców, uczciwych pracowników, tysiocy wolontariuszy, oddanych księży, kochających rodziców i utalentowanych artystów. I jeżeli chcemy, aby ideał ten kiedykolwiek się ziścił musimy prace podjąć już teraz. Nad sobą.

Droga ku samodoskonaleniu jest obowiązkiem. Jak wspominałem wcześniej, jesteśmy powołani do życia, nie do egzystencji. Jesteśmy powołani do mrozącego wiatru na karku i pulsującej krwi w żyłach. Żaden z nas nie ma prawa narzekać na brak elit w kraju samemu nie dążąc do elitarności. Wielu z nas wpada w pułapkę krytyki. Dopóki stoi się w miejscu bunt jest bez wyrazu. Nie chcę powielać tekstów kolegów o pasywności polskiego nacjonalisty. Sądzę, że tutaj nie chodzi tylko i wyłącznie o brak zaangażowanie w inicjatywy narodowe czy konkretne organizacje. Tutaj chodzi przede wszystkim o brak skutecznej walki wewnętrznej. Wyobraźmy sobie sytuację, w której partia nacjonalistyczna zdobywa władzę. Czy to faktycznie istotnie zmieni postać rzeczy? W jakimś stopniu na pewno, ale czy posiadamy wystarczającą ilość specjalistów, żeby obsadzić wysokie stanowiska? Czy ktoś jest w stanie wskazać dziesięciu współczesnych nacjonalistycznych ekonomistów albo inżynierów odznaczających się wybitnością? Pomijając wątek techniczny, co z poetami? Co z kapłanami? Czy nasz naród posiada wystarczającą siłę twórczą, aby promować duchową wielkość? Jeżeli nie to czy faktycznie nie stać nas na to, żeby takową posiadać? Jesteśmy narodem, który przecierpiał 123 lata niewoli, dwie wielkie wojny światowe, 50 lat komunizmu i ostatnie dwie dekady demoliberalizmu. Przez wieki niszczone nasze elity, zapobiegano rozkwitowi naszej kultury, tłamszono naszą gospodarkę i myśl samorządową. Dzisiejszym wyzwaniem jest powstać z kolan i nie dopuścić do upadku. Ani razu więcej. Polacy potrzebują siły cywilizacyjnej, która z jednej strony zainicjuje przełom, a z drugiej wytworzy soft-power motywujący inne narody Europy do zawrócenia z kursu ku przepaści. Nasz naród nie osiągnął jeszcze ostatniej równi pochyłej, wciąż mamy szansę zbudować Wielką Ojczyznę ze sprawiedliwym systemem i bogatą kulturą. W dodatku, być może jesteśmy ostatnimi, którzy mogą zrobić to na tyle skutecznie aby rozpalić serca innych pokazując im kuszący zapach towarzyszący nieznanemu. Abyśmy zarówno my jak i oni poczuli gorące iskry prometejskiego płomienia. Wiemy o co toczy się gra. Wiedzmy też jak to osiągnąć.

Polskę stać na wielkość. Wiemy, że nam do niej daleko. Zestawiając te dwie myśli musimy podjąć działania ku zmianie obecnego stanu rzeczy na lepszy. Rozwińmy żagle i obierzmy kurs na

przełom. Każdemu z nas może przyjść wypełnić swoją rolę. Bądźmy gotowi do tego zadania. Dziś musimy przede wszystkim uczyć się i pracować. Nie można przyjąć myślenia upoważniającego do bierności lub braku uczciwości. Owszem, system nie jest sprawiedliwy, ale to nie oznacza, że my mamy tacy być. Część z nas w pracy ma kontakt z drugim człowiekiem, robi coś dla kogoś lub świadczy różne usługi. Czyniąc to nie należy czekać na uczciwszy system tylko już teraz dbać o dobro swoje i innych Polaków na tyle na ile można. Ucząc się i rozwijając wypełniamy obowiązek wobec siebie. Samodoskonalenie nie ma jednak wymiaru czysto jednostkowego. Nasz ruch potrzebuje ludzi, którzy się na czymś znają. Same argumenty doktrynalne nie wystarczą, jeżeli nie będziemy mogli narodowi zaproponować konkretnych rozwiązań społecznych i gospodarczych. A programy te muszą być poparte solidną wiedzą. Ponadto, każdy z nas wie przeciwko czemu występuje, ale czy każdy wie w imieniu czego to robi? Nieodłącznym fundamentem nacjonalisty musi być znajomość korzeni własnej cywilizacji, zrozumienie jej siły sprawczej. Nie da się wpędzić w ruch zębatych kół historii nie wiedząc w jaki sposób działają. A to uczynić można jedynie łącząc fachową wiedzę na jakiś temat, społeczny aktywizm, przedsiębiorczość lub twórczość artystyczną z rzetelnym kręgosłupem cywilizacyjnym. Nie marzymy ani o technokracji, ani o wskrzeszaniu tego, co już umarło. Marzymy o rozpaleniu idealistycznego ognia przy chłodnej, fachowej precyzji.

Tytułem końca apeluję do Was i do siebie: uczmy się, pracujmy, rozwijajmy siebie i ludzi bliskich naszym ideałom. Twórzmy środowiska idealistów z wiedzą, fachem, talentem i zapalczywością, lecz przede wszystkim wolą zwycięstwa. Tryumfem, który zaczyna się od jednostki. Człowieka dającego przykład rzetelnej pracy, rękojmie uczciwości i oddania sprawie własnego ludu.

Jak Prometeusz.

Adam Busse - „Co dalej po wyborach prezydenckich we Francji?”

Pierwsza niedziela maja br. upłynęła pod znakiem drugiej tury wyborów prezydenckich we Francji. Było to z pewnością wydarzenie, które elektryzowało media i opinię publiczną na świecie. Do drugiej tury dostali się kandydat liberalny, ochrzczone już mianem francuskiego Ryszarda Petru, Emmanuel Macron oraz Marine Le Pen, była już szefowa Frontu Narodowego. To nie pierwszy raz, kiedy kandydat francuskich nacjonalistów walczył o prezydenturę. W 2002 i 2007 roku w wyborach prezydenckich startował ojciec Marine, Jean-Marie Le Pen, uzyskując kolejno 16,86%/ok. 18% (kolejno pierwsza i druga tura) i 10% (w 2007) głosów. Marine Le Pen w pierwszej turze zdobyła 21,30% głosów, zajmując drugie miejsce za Macronem (24,01%), a za nią - konserwatysta Francois Fillon (20,01%) i lewicowiec Jean-Luc Melenchon (19,58%), którzy po wynikach zapowiedzieli poparcie Macrona w II turze, byleby radykalna prawica nie dostała się do Pałacu Elizejskiego. I ostatecznie Macron wygrał wybory z wynikiem 66,1%, zaś Le Pen uzyskała 33,9% głosów.

Po wyborach Marine Le Pen zapowiedziała przeprowadzenie reform we Froncie Narodowym, z którego miałyby uczynić główną opozycję narodową wobec rządów Macrona. Stworzenie takiej formacji miałyby wiązać się również z zamianą nazwy i niedziałaniem już pod nazwą FN, na co zgody nie wyrażą Jean-Marie Le Pen oraz konserwatywna frakcja Front National. Krytyczna wobec linii partyjnej i wpływu doradców na Marine Le Pen pozostaje również była posłanka i siostrzenica, Marion Marechal-Le Pen. Marion Marechal po wyborach postanowiła wycofać się z życia politycznego i stąd nie będzie kandydować w czerwcowych wyborach do parlamentu francuskiego oraz zrzekła się funkcji przewodniczącej Frontu w regionie PACA (Prowansja – Alpy – Lazurowe Wybrzeże). Według spekulacji mediów, chciała w ten sposób uniknąć konfliktu z Marine Le Pen, ponieważ nie tylko krytykowała obecną linię partyjną, ale również nie zgadza się na zmianę formuły Frontu Narodowego.

Michał Szymański w poprzednim numerze Szturmu przewidział, że Marine Le Pen przegra wybory, mimo poparcia udzielonego jej przez ojca (który zapowiedział, że mimo konfliktu z nią odda głos w wyborach) oraz francuskich nacjonalistów z innych organizacji, w tym Groupe Union Defense. Niestety, Le Pen kolokwialnie mówiąc położyła się na wyborach, co można było zauważyć m.in. w telewizyjnej debacie między nią a Macronem. Według Jean-Marie Le Pena zauważono serię osobistych ataków „ad personam” między kandydatami oraz brak skupienia uwagi córki na problemach demografii i masowej imigracji, uważanych w opinii Le Pena za najważniejsze

problemy Francji. Tu można podać jeszcze wycofywanie się w ostatniej fazie kampanii wyborczej z postulatu wyprowadzenia państwa francuskiego ze strefy euro, co w dalszej konsekwencji okazało się nieczytelne dla potencjalnych wyborców, oraz kwestia emerytur. Nie udało się Marynie przekonać Francuzów do uznania niedzielnych wyborów za plebiscyt za lub przeciwko masowej imigracji. Zatem można powiedzieć, że mimo bardzo dużego zaangażowania środowiska w kampanię Marine Le Pen wybory nie potoczyły się po myśli wielu ludzi, którzy liczyli, że to ten wybór może przebudzi Francję i doprowadzi do „Frexitu”. Nic z tych rzeczy.

Mało zaskakującym faktem było wsparcie Emmanuela Macrona, kandydata „z nikąd” (a w rzeczywistości - pompowanego przez system celem kanalizacji niezadowolenia społecznego oraz utrzymania status quo – byłego pracownika banku Rotschildów i uczestnika spotkań Grupy Bilderberg), przez pozostałe siły polityczne, których kandydaci nie dostali się do drugiej tury. Republikanie, socjaliści oraz liberałowie poparli kandydata globalistów, aby tylko Marine Le Pen nie wygrała (co potwierdza pogląd, że antyfaszyzm potrafi łączyć ludzi tak o poglądach lewicowych, jak i prawicowych). Macrona poparli również muzułmanie, żydzi i protestanci, natomiast przedstawiciele Kościoła Katolickiego postanowili nie angażować się w wybory poprzez wskazywanie swego kandydata. Przywódcy religijni we wspólnej deklaracji w przeddzień wyborów pisali między innymi tak:

Głęboko przywiązani do republikańskich zasad naszej dewizy: „Wolność, równość, braterstwo”, jak też do powszechnych wartości gościnności, otwartości na innych i solidarności, wzywamy Francuzów do zaangażowania (...) aby na drodze głosowania zwyciężyła Francja wielkoduszna, tolerancyjna i otwarta na świat. (...)

Ponieważ dzisiaj nie wystarczy już powstrzymywanie Frontu Narodowego, konieczne jest przypomnienie jednym głosem humanistycznych fundamentów, które nas ozywają i dla których na co dzień pracujemy. (...).

Nie ma nic ponad pokój i tylko republikański głos na Emmanuela Macrona zapewni Francję silną całą swą historią, ufną w swą przyszłość i w zdolność do promieniowania w świecie. (...)

Doprawdy, istny „sojusz ekstremów” różnych środowisk religijnych i politycznych, które w czasie kampanii połączył jeden wróg. Był nim Front Narodowy. Ich cel został osiągnięty. Macron wygrał wybory, nie będzie „Frexitu”, do Francji będą przedostawać się kolejne fale imigrantów, a lewicowe środowiska obecnie naciskają na nowego prezydenta V Republiki, by wpisał do konstytucji francuskiej prawo do aborcji, podjął walkę z dyskryminacją osób o innej orientacji seksualnej, wprowadził edukację seksualną do szkół oraz uznał związki pederastów za równą formę rodziny.

Mam zresztą sporo zastrzeżeń co do obecnej linii partyjnej Frontu Narodowego, o czym pisałem w grudniu 2015 roku na łamach „Kierunków”, więc krótko powtórzę, jakie są jej punkty. Dwulicowa polityka w sprawie aborcji (wg Marine Le Pen prawne regulacje dotyczące zabijania nienarodzonych dzieci powinny być zależne od woli Francuzów, których większość nie popiera zakazu aborcji) oraz pederastów (mimo iż oficjalnie FN nie popiera małżeństw „jednopłciowych”, to w ostatnich kilku latach otwarte poparcie dla tego ruchu deklarowali pederasci widząc w nim ratunek przed islamem tępiącym wszelkie przejawy pedałowania), krótkowzroczność ideowa (która przejawiała się chociażby poparciem dla SYRIZY w wyborach parlamentarnych w Grecji w 2015 roku, uważając, że w Grecji i Hiszpanii, gdzie nie ma partii stanowiącej odpowiednik Front National, to rolę antysystemową pełni skrajna lewica), podzielone stanowisko w sprawie konfliktu izraelsko – palestyńskiego, idealizowanie wizerunku politycznego (m.in. przyjmowanie pederastów na stanowiska doradców, jak Sebastien Chenu w grudniu 2014 roku), odmowa współpracy z nacjonalistami z Jobbiku, Złotego Świtu i bułgarskiej ATAKI oraz rozmów z europosełm NPD, Udo Voigtem w 2014 roku, utrzymanie świeckiego statusu państwa z 1905 roku oraz antyislamizm wynikający z faktu, iż w opinii Marine Le Pen islam jest zagrożeniem dla świeckości Francji, nie dla chrześcijaństwa. Dodatkowo, wpływ na to miał fakt wyrzucenia Jean-Marie Le Pena z partii oraz jej stopniowa deradykalizacja, prowadzona przez doradców Marine. Mimo to przez francuski oraz europejski establishment nadal partia Front National jest uważana za ekstremistyczną, faszystowską i antyunijną siłę. Można jeszcze do tego dodać dość putinofilską gębę FN, przekładającą się na poglądy Marine Le Pen. Była liderka Frontu Narodowego uważa m.in. iż Putin to swego rodzaju obrońca wartości chrześcijańskich w Europie, a Rosja miałaby być brana za wzór państwa dbającego o interesy Rosjan (ten mit charakteryzuje zresztą nie tylko Marine, ale i prawicę/narodowców z innych krajów Europy Zachodniej).

W długiej perspektywie za kadencji Emmanuela Macrona Francja pozostanie w UE i NATO, granice dla imigrantów pozostaną otwarte, w imię walki z terroryzmem dalej będą ograniczane swobody obywatelskie, a nowo obrany prezydent zapowiedział już sankcje wobec Polski i Węgier

za „naruszanie wszystkich zasad Unii Europejskiej”. Trzeba też pamiętać, że Macron jako minister gospodarki za prezydentury Francois Hollande’a jest współodpowiedzialny za ekonomiczną zapaść Francji (zastój gospodarki, zmniejszenie się liczby miejsc pracy, wzrost bezrobocia, długu prywatnego i publicznego etc.). Jak się będzie zmieniać Francja albo i się nie zmieniać, czas pokaże. Bez komentarza natomiast należy zostawić wyrażone przez europoła PiS, Ryszarda Czarneckiego, sympatie do Macrona.

Tomasz Kosiński - „Oswald Mosley - „Odpowiedź dr. Strasserowi”

Prezentuję Czytelnikom odpowiedź Oswalda Mosleya z czerwca 1954 roku zamieszczoną w piśmie The European na tekst Ottona Strassera pt. Rola Europy zamieszczony w tym samym piśmie na przełomie 1953 i 1954 roku. Warto zwrócić uwagę, że obaj czołowi przedstawiciele nacjonalistycznego zjednoczenia Europy prezentują różne wizje swojej polityki. Pozwala to dostrzec różnice między idealistyczną, niemiecką koncepcją Strassera oraz charakterystyczną, realistyczną, brytyjską wizją Mosleya.

Tomasz Kosiński

Oswald Mosley „Odpowiedź dr. Strasserowi”

The European vol 16 June 1954

Dr Strasser i ja prezentujemy różne wizje. On marzy o Europie Narodów, pozostałych w swych formach, w których żyją od stuleci. Ja chcę stworzyć „Europę – Naród”. Zintegrowaną Europę taką jak Wielka Brytania po unii Anglii, Walii i Szkocji lub jak Niemcy po działaniach Bismarcka. Chyba, że źle zrozumiałem dr Strassera i jest to po prostu kwestia sporu między nami. Jednak im szybciej stanie się to kwestią intelektualnego sporu tym lepiej. Nie jest to kwestia sporu między tymi, którzy kochają bogato zróżnicowaną kulturę Europy i tymi, którzy pragną zredukować ją do amerykańskiej lub rosyjskiej „kolonii”. Nie jest to spór między tymi, którzy cenią sobie poszczególne gałęzie przemysłu, rzemiosło Europy a tymi, którzy pragną doprowadzić system bankructwa i stać się robotami „banku światowego”. Jest to dyskusja między ludźmi, którzy są przesiąknięci narodowymi tradycjami Europy i są pewni, że charakter, kultura i siła materialna naszego kontynentu zostały zaatakowane przez obce wpływy i pozostają pod kontrolą sił zewnętrznych. Różnie podchodzimy do metody zapewniającej budowę silnej i niezależnej Europy, inaczej definiujemy strukturę Europy, którą chcemy zabezpieczyć.

Doktor Strasser pragnie przekonać nas, abyśmy myśleli narodowo tak, jak Niemcy, Francuzi czy Anglicy. Będę starał się zobowiązać go do sposobu myślenia Anglika, mimo tego, iż ostatnie kilka lat poświęciłem na myślenie jako Europejczyk. To nawyk angielski, by tylko myśleć praktycznie i pozostawić teorię Niemcom. Anglicy zdobyli świat ze względu na swoje umiejętności polityczne a później utracili go na skutek swojej niezdolności do stanowczej, konsekwentnej i systematycznej organizacji. Niemcy różnymi sposobami a w kilku przypadkach prawie zdobyli świat swoim geniuszem organizacyjnym, jednak przegrali z powodu braku umiejętności politycznych, które spowodowały złączenie reszty ludzkości przeciwko nim. Od dawna wydaje mi się, że synteza angielskich i niemieckich cech może przynieść korzyść Europie i całej ludzkości, zwłaszcza jeśli Francuzi dodadzą do konsekwentnej stabilności jakąś wiedzę na temat tego, jak żyć, której potrzebujemy w różnym stopniu.

Zacznijmy od angielskiego praktycznego pytania dotyczącego faktycznej sytuacji, która nas poróżniła. Angielski zwyczaj ignorowania przeszłości ułatwia fakt, że nie jesteśmy za nią odpowiedzialni. Spędziłem kilka lat w więzieniu za moją polityczną działalność wobec serii przestępstw i błędów, które są stygmatyzowane przez dr. Strassera, w dziwnej komitywie z panem Bevanem i gen. de Gaullem, którzy chcą pozbyć się amerykańskiej potęgi z Europy. Pan Bevan uważa, że amerykańskie pieniądze będą nadal dostępne do wsparcia swoich przyjaciół z Azji i dla utrzymania partii pracy przy władzy, podczas gdy on okłada Amerykę zniewagami. Generał de Gaulle cierpi na podobne złudzenia, może nadal używać Amerykanów do własnych celów, zaprzeczając ich polityce, jeśli „uśmiechnie się” do nich (to musi być bardziej uwodzicielski uśmiech od Mona Lisy). Doktor Strasser ulega takim iluzjom. Chce pozbyć się Ameryki i zastąpić ją niemiecką armią - obrońcą Europy. To w każdym razie jest nadal zrozumiałe i praktyczne. (Uważa się, że możliwe jest podejście do tego tematu bez uszczerbku, ponieważ nie ma wielu Europejczyków, którzy mieli tak wielu przyjaciół wśród niemieckich żołnierzy i bardziej realistycznych polityków).

Istnieją dwie proste, ale niemożliwe do zaakceptowania propozycje dr. Strassera. Niemiecka armia powinna być obrońcą Europy po wycofaniu się Stanów Zjednoczonych. Po pierwsze, reszta Europy nie wytrzyma tego - pomyślą, że oznaczałoby to niemiecką hegemonię. Po drugie, armia niemiecka w obecnych warunkach nie może sprostać zadaniu obrony Europy. Idea niemieckiej armii, która powinna zastąpić Amerykę w roli obrońcy Europy wykazuje niezwykley brak realizmu. Jest to surowe powtórzenie tej przewlekłej niezdolności do zrozumienia tego, co inni ludzie czują i myślą, co było najbardziej karygodnym błędem w starym, niemieckim braku umiejętności politycznych.

Musimy zdać sobie sprawę, że ta propozycja po prostu nie zadziała. Nie tylko jest to dość niewykonalne po dwóch wojnach światowych w ciągu życia jednego pokolenia. Jest to najgorsza zagłada dla sprawy niemieckiej. Każda sugestia niemieckiej hegemonii jest obecnie najlepszym sposobem na podważenie prawa Niemiec do zajęcia miejsca wśród rodziny Europy, która ma wpływ na ich charakter i umiejętności. Wewnątrz Niemcy potrafią wszystko. Na zewnątrz, nie. Uświadomienie sobie tego faktu jest fundamentem działań politycznych.

Twierdzenie, że armia niemiecka może obronić Europę we współczesnych warunkach, jest trudne do zrozumienia nie zwracając uwagi na politykę rosyjską i rozwój nowoczesnej nauki. Czy ktoś wyobraża sobie, że armia rosyjska będzie stać beczynną, gdy niemiecka armia zostanie przeszkolona w celu obrony Europy po amerykańskim wycofaniu się? Rosja musiałaby nieuchronnie myśleć, że ta armia zaatakuje ją bezpośrednio. Będzie gotowa, aby odzyskać utracone niemieckie terytoria. Rosja natychmiast podjęłaby działania, aby zapobiec zorganizowaniu takiej armii, gdyby Amerykanie z ich dostawami bomb wodorowych opuścili Europę. W końcu powrócimy na utracone regiony Europy, ale nie poprzez marsze starodawnych armii czy też za pomocą nowoczesnych bomb, ale poprzez opracowanie nowej techniki politycznej, którą opisałem już w innych pismach. Najpewniejszą drogą do zniszczenia wszystkich planów na rzecz odbudowy Europy byłoby pozwolenie na rosyjską inwazję na kontynent, który stał się bezbronny.

Dr Strasser pisze, że ogłoszenie amerykańskiego wyjścia (z Europy – przyp. tłum.) byłoby „ożywieniem muzyki ku uszom prawdziwej Europy”. W smutnej praktyce nie jest to muzyka, którą można by się zachwycać.

Przypuśćmy jednak, że pierwszy etap tej fantastyki przełoży się na rzeczywistość. Przypuśćmy, że potężna armia niemiecka może być wyszkolona i zostałaby powołana oraz obyłoby się bez rosyjskiej interwencji. Jaka byłaby skuteczna siła tej armii przy stanie liczebnym z 1939 r. w obecnych warunkach? Czy ta armia mogłaby maszerować w obronie Europy, jeśli wszystkie miasta w Niemczech zostałyby zniszczone przez bomby typu H? Zanim armia mogłaby wejść na pole, Niemcy i ich europejscy sojusznicy musieliby wyprodukować wystarczającą ilość bomb typu H, aby zahamować użycie tej broni przez Rosjan. Konieczne byłoby również opracowanie i udoskonalenie artylerii atomowej, która prawdopodobnie wkrótce stanie się decydującą armią lądową. Może to być również trudne zadanie dla wielu Niemców, ale być może wkrótce stanie się faktem, że stare armie są całkowicie nieaktualne, przyszłość polityki energetycznej może

spoczywać na ziemi niczyjej między polityczną sferą militarną, na którą z pewnością Rosjanie będą pierwsi wchodzić.

Niezależnie od tego, czy obecne czynniki równowagi sił pozostaną takie same lub zmienią się radykalnie, jedno jest pewne: szaleństwa z przeszłości nałożyły tak fatalne, niekorzystne skutki dla Europy, a zwłaszcza dla europejskiej nauki, że upłynie trochę czasu, nim można by odpowiedzieć Rosjanom w każdej dziedzinie, zwłaszcza po wycofaniu się Amerykanów. Nie pozostałoby nic, aby powstrzymać marsz wszechmocnej armii rosyjskiej do wybrzeży kanału (La Manche – przyp. tłum.) i nic nie zatrzymałoby kapitulacji Anglii. Kto jest w stanie ich powstrzymać, jeśli nie Amerykanie? Odpowiedź jest jedna -nikt - i cała Europa wie o tym.

Dr Strasser i ci, którzy myślą tak jak on żyją w świecie prostych złudzeń. My się im przeciwstawiamy, nie dlatego, że pragniemy amerykańskiego panowania, ale dlatego, że jesteśmy zdecydowani, żeby Europa odżyła. Obecnie żyjemy pod protektoratem Ameryki, bez niej powinniśmy żyć pod panowaniem rosyjskim. Różnica polega na tym, że w Ameryce Europa nadal żyje, a pod Rosją nie żyłaby. Dzięki temu możemy myśleć nie tylko o życiu, ale o wolności. Czym oni są?

Pierwszą koniecznością jest zjednoczenie Europy pod przykrywką istniejącej siły amerykańskiej, czyli polityka, której Strasser sprzeciwia się. Nie mamy na to czasu, ponieważ Rosjanie dogonili USA w produkcji bomb typu H, armia rosyjska ponownie będzie w stanie zapobiec tworzeniu zjednoczonej Europy i jej uzbrojeniu. W chwili obecnej Europejczycy mogą zjednoczyć się i bronić nasz kontynent. Im więcej Niemców jest zintegrowanych z resztą Europy, tym więcej siły niemieckiej można wykorzystać do tej obrony bez obaw a jednocześnie zwiększy się przyszła rola Niemiec w Europie. To, co dr Strasser traktuje jako największe zagrożenie z Ameryki, jest naszym największym powodzeniem - Ameryka chce nas zjednoczyć. W tym względzie jesteśmy lepsi niż Bismarck, którego zjednoczenie z Niemcami było utrudnione, nie było chronione przez zewnętrzną potęgę. W rzeczywistości miałoby niewielką szansę powodzenia, gdyby nie armia pruska, która - jak już powiedziano - nie może obecnie być do dyspozycji Europy. Nie ma znaczenia dlaczego Ameryka chce nas zjednoczyć. Może to być z powodów idealistycznych lub materialistycznych - pytanie jest nieistotne dla praktycznego wyniku, chociaż wierzę, że większość Amerykanów jest idealistami w tej materii. Kiedy dwieście siedemdziesiąt milionów Europejczyków połączy się siłą zjednoczonego narodu, będziemy potężni, nie będziemy zarządzani przez żaden blok, czy też

zagrożeni barbarzyńską inwazją ze wschodnich stepów. Jeśli poddamy się albo Ameryce, albo Rosji, to będzie nasza wina. Umyślne samobójstwo. Dlaczego musimy być uzależnieni od finansów amerykańskich, gdy dysponujemy potęgą produkcyjną całej Europy, surowcami Afryki, które posiadamy, a także Ameryki Południowej, którą nieuchronnie przyciągniemy? Jeśli zaakceptujemy amerykańską pomoc w celu odtworzenia Europy, odbyłoby się to na określonych warunkach i za konkretną nagrodą, którą powinniśmy rozstrzygnąć w drodze negocjacji pomiędzy równymi partnerami. W tej sytuacji padnie strach na sto siedemdziesiąt milionów Rosjan, dwieście siedemdziesiąt milionów Europejczyków wyjdzie ze sfery dzisiejszego koszmaru, aby ożywić martwe wspomnienie Czyngis-chana.

Dr Strasser jest obsesyjnie naiwny myśląc, że zjednoczona Europa będzie kontynuować politykę sir Winstona Churchilla i dr. Adenauera. Powinniśmy porzucić ideę europejskiej unii. Można argumentować, że powinniśmy zrezygnować z Anglii i Niemiec, ponieważ nasze kraje są obecnie dowodzone przez politykę tych dwóch dżentelmenów. W zjednoczonej Europie początkowo istniało wiele sprzecznych strategii, między którymi muszą decydować Europejczycy. W końcu wygramy przez logikę wydarzeń, większą siłę i żywotność naszych idei (w rzeczywistości mamy pomysł, oni nie mają), zjednoczenie Europy i to, co im się przynosi, nie należy do tych panów. Na długo jesteśmy przed nimi w naszej idei oraz wciąż wyprzedzamy ich w rozwoju (np. Mój esej w *The World Alternative* opublikowany w 1936 r. w kwartalniku faszystowskim i w *Geopolitics*, a także moje powojenne pisma, bezpośrednio po wydostaniu się z więzienia Churchilla. Również warto docenić duży wkład w ideę unii europejskiej wielu Europejczyków).

Nasza aktualna wizja polityki europejskiego zjednoczenia różni się zupełnie od ich. Na przykład moja ostatnia definicja europejskiego socjalizmu. Dlaczego warto założyć, że będąc dużym i silnym, sprawi, że będziemy podobni do Ameryki i Rosji? Z pewnością jest to paradoks, mówiący o tym, że silny utraci tożsamość. Dr Strasser obawia się, że nowoczesne metody przemysłowe mogą zmienić charakter Europy. Stara się przekonać swoich bliźnich, Europejczyków do życia w takim społeczeństwie, które dąży do utrzymania przemysłu na małą skalę, jeśli tylko może. Ze swojej strony powinienem polecić, aby podstawowe gałęzie przemysłu były prowadzone metodami produkcji masowej i że na tej solidnej podstawie należy zbudować superstrukturę o nieskończonej różnorodności. Ale jest to droga dla Europy, którą może wybrać, gdy osiągnie jedność i niezależność.

Dlaczego też moglibyśmy zatracić nasze narodowe kultury w większej całości? Szkockie cechy i kultura nie są bardziej zagubione w Wielkiej Brytanii, niż bawarska charakterystyka i kultura zatraciła się w Niemczech. Przeciwnie, są one najtrwalej utrzymane. Sekretarzem naszego ruchu jest Szkot, który współpracuje ze mną i rozmawia na wszystkie zagadnienia brytyjskie i europejskie. Podczas „Burns night” (szkockie święto – przyp. tłum.) i zjada haggis, nie chce tłumić swojej lokalnej kultury, a ja z pewnością nie chcę tego zakazywać. Jako Anglik jestem mu zupełnie obcy, zarówno mój umysł, jak i mój żołądek - niezrozumiały i niestrawny. W każdej sympatii znajduję się znacznie bliżej Goethego niż Burnsa. Co najmniej tak blisko Goethego jak Szekspira. Podczas wielu okazji obserwowałem ducha pruskiego, który ma mniejsze pokrewieństwo z Anglikiem niż z Austriakiem, a któż zaprzeczy, że Austriacy czasami mają więcej angielskich sentymentów niż Prusacy? To wstępne zdefiniowane podziałów narodowych nie jest tak zdecydowane i surowe, jak może się wydawać na pierwszy rzut oka. Pasma europejskiego życia są ze sobą dziwnie splątane.

Barierami między nami są język oraz wspomnienia z przeszłych wojen. Obie, w różnym stopniu, są tymczasowe. Nawet w moim życiu wrogość pamięci przesunęła się w angielskim umyśle z Francji do Niemiec i teraz zmierza ku Rosji. Bez barier językowych i wspomnień o wojnie każdy z wiedzą o Europie może wątpić, czy normański Francuz czułby się bardziej związany z Niemcem z północnych równin, czy z Anglikiem, bardziej niż z Marsylczykiem? Wspomnienia o polityce władzy szybko giną wraz ze świeżą potrzebą. Bariery językowe czekają na rozbiórki, ale i one przepadną. Już nie istnieją dla każdego wykształconego Europejczyka z odpowiednią znajomością co najmniej trzech głównych języków.

Decydujące znaczenie ma sprawa robotnicza. Jednym z największych mitów jest podział na język i tradycję narodową. Zagwarantuję, że przemówienia we Wschodnim Londynie w imieniu robotników Wschodniego Berlina podczas niedawnej walki z rosyjskim uciskiem wywołały co najmniej tak silną odpowiedź, jak przemówienie w tym samym miejscu w imieniu pracowników z Durham i Lanarkshire w czasie brytyjskiego strajku generalnego. Większość robotników ze Wschodniego Londynu nie spotkała się i nie zna osobiście robotników z Berlina Wschodniego. Jednak w obu przypadkach doświadczali praktycznego i idealistycznego poczucia solidarności z ludźmi tego samego rodzaju i gatunku w obliczu ucisku. Kiedy mówimy o Wschodnim Berlinie we Wschodnim Londynie wspólna sprawa wywołuje poczucie ducha europejskiego, w praktyce osiągamy „rozszerzenie patriotyzmu”, o którym pisałem w 1947 roku. W obliczu wielkich sporów, a wciąż niesprzyjających warunków, nowy ruch postępuje powoli - ale żyje. Nie przejmujemy się

pesymistami, którzy mówią, że te rzeczy są niemożliwe. Prawdziwa Europa istnieje od trzech tysięcy lat, a te przenoszące się barykady, które nas ograniczają, wiążą się z różnymi zawiłościami losu. Gdyby nie to zamieszanie po śmierci Karola Wielkiego, zjednoczona Europa mogła być wystarczająco silna, aby przeszkodzić sąsiedzkiej wyspie w zdobyciu większości świata. Doświadczenie Anglii może być pomocne Europie (której jesteśmy częścią pomimo wszelkich przestępstw i głupstw naszych obecnych rządzących) aby zachować prawie wszystko, co wciąż trwa na świecie. Nie myślmy w kategoriach Edena i Adenauera o powojennych doświadczeniach francuskich i włoskich. Nie myślmy nawet w kategoriach 1914, 1939 lub XIX w. Nie myślmy w kategoriach małej historii, ale wielkiej historii. Nie bójmy się nawet myśleć biologicznie i historycznie. Nawet jeśli określamy tych, którzy nie widzą żadnej różnicy między wyścigiem ogierów a osłów. Trzy tysiące lat geniuszu - europejskiego umysłu i ducha - należy do nas wszystkich. Tak jak kochamy nasze kraje, zrozumiemy, że najszczerze słowa wypowiedziane na ziemi od czasu Civis Romanus Sum zabrzmiały „Jestem Europejczykiem”.

Oswald Mosley

Michał Walkowski - „Recepcja poglądów Johanna Herdera w Polsce”

Zgodnie z zapowiedzią, którą poczyniłem w ostatnim tekście poświęconym poglądom i biografii Herdera, pragnę zaprezentować odbiór myśli tego niemieckiego filozofa na ziemiach polskich. Samą skalę jego oddziaływań na różnej maści Polaków można rozpoznać już na podstawie wymienionych we wspomnianym, poprzednim artykule postaci, które inspirowały się nim. Wśród tych person pojawiły się osoby tak ważne dla polskiej kultury jak chociażby Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Julian Ursyn Niemcewicz, Stanisław Staszic, Joachim Lelewel, Ignacy Krasicki, Zygmunt Krasiński, Józef Ignacy Kraszewski, Karol Libelt, czy Bronisław Ferdynand Trentowski. Nie sposób byłoby przedstawić w ramach jednego tekstu związku z Herderem samych tych podanych jako przykład literatów. Podjąć się więc należy wyboru. Nie należy on do najłatwiejszych. Powinien być możliwy do zreferowania w ramach jednego artykułu oraz równocześnie pokazywać skalę oddziaływań Herdera na wielkich Polaków. W tym zbiorze na pewno powinny się znaleźć trzy postacie Stanisław Staszic (jako osoba reprezentująca środowisko Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauki i będącą ważną personą polskiego oświecenia), Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki (jako dwaj przedstawiciele opozycyjnych nurtów literackich polskiego romantyzmu). Ponadto – należałoby zawrzeć w podsumowaniu próbę odpowiedzi na pytanie „Czy Johann Herder może inspirować dzisiaj?”

Pierwszą postacią, której myśl (nieświadomie) była częściowo zbliżona do herderyzmu, był Stanisław Staszic. Odnaleźć można u niego ideę „czucia ludzkiego”, której herderowskim odpowiednikiem był „Menschheit Humanitat”. Staszic w swoim dziele „Ród ludzki” zawiera tezy, pod którymi bez oporu mógłby podpisać się Herder. Mowa przede wszystkim o oświeceniowym przekonaniu o wielkości ludzi oraz ich możliwościach (głównie tych związanych z naszym intelektem, rozumem). Był to co prawda wyraz tendencji obecnych w wielu miejscach, u wielu myślicieli europejskiego oświecenia, ale nie zmienia to faktu, że obaj filozofowie byli ze sobą nieświadomie związani. Poza podkreślanie szczególnej roli i mocy człowieczeństwa, zarówno Herder, jak i Staszic byli wielkimi orędownikami istotności tożsamości narodowych. Oboje zdawali sobie sprawę z tego, że idea narodu jest czymś więcej niż tymczasową modą, czy wytworem oświeceniowym. Oboje jej bronili zaciekle.

Drugim z wybranych polskich myślicieli powiązanych z Herderem był Adam Mickiewicz. Warto zaznaczyć, że pierwszy spośród naszych wieszczów narodowych odwołuje się do herderyzmu już w

sposób zupełnie świadomy. Co ciekawe – robi to w bardzo szerokim wymiarze. Te odwołania dotyczą niemal każdego aspektu myśli Johanna Herdera. Mickiewicz nie tylko był spadkobiercą ideałów późno-oświeceniowych, ale odnajdywał w herderyzmie gro inspiracji, które stały się kamieniem węgielnym polskiego romantyzmu. Może i powiedzieć, że polski romantyzm jest ufundowany na ideałach Herdera, to zbyt wiele, ale mimo wszystko można zaryzykować stwierdzenie, iż oba nurty tej epoki (romantycy i klasycyści) w dużej mierze nawiązują do myśli herderowskiej i odgrywa to sporą rolę dla ich finalnego ukształtowania. Wracając do samego Mickiewicza, uznawał on (nieco inaczej niż Staszic), że z emanacją ideału ludzkości obcujemy poznając jej cząstki w poszczególnych ludziach. Ponadto wieszcz ten – podobnie jak Herder – uznawał szczególną rolę Słowiańszczyzny wraz z jej orientalnym (indyjskim) rodowodem. Co więcej – był on zwolennikiem zapoczątkowanego przez herderyzm kulturowego rozumienia narodu (ze szczególnym uwzględnieniem roli języka). Dlatego też można przeprowadzić analogię między herderowskim „Naturpoesie”, a mickiewiczowską pieśnią gminną. Jak widać – wiele jest elementów wspólnych między teoriami Mickiewicza, a preromantyzmem Herdera.

Trzecim przykładem powiązania poglądów niemieckiego filozofa narodu ze znaczącymi polskimi myślicielami jest Juliusz Słowacki. Drugiego wieszcz łączy z Herderem przede wszystkim wielkie zainteresowanie sprawami historiozofii. Słowacki jest znany głównie z idei winkelriedyzmu, która była de facto krytyką teorii mesjanistycznych Mickiewicza. Polegała w dużym uproszczeniu na przeświadczeniu o bezsensie podejmowania znacznych krwawych ofiar w imię wyższych celów. Słowacki był również żywo zainteresowany sprawami Słowiańszczyzny, którą to Herder także się zajmował i jej schlebiał. Ponadto – istotną płaszczyznę wspólną obu tych myślicieli była symbolika. W dziełach ich wielką rolę odgrywały symbole, które były szeroko identyfikowane z różnymi zjawiskami. Zaznaczyć należy, że owa identyfikacja następowała w wyniku utartych przez stulecia w ludowych podaniach, pieśniach i innych tekstach kultury wzorcach.

To skromne i wybiórcze przybliżenie związków Johanna Herdera z polskimi elitami, które kształtowały naszą kulturę, dobiega końca. Trzy postacie i krótkie opisy ich relacji z niemieckim filozofem z pewnością nie są wyczerpujące, ale mogą już być pewnym obrazem przestrzeni, którą zatacza polski herderyzm. Ponadto żywię nadzieję, że będą one stanowiły punkt wyjścia do zainteresowania tematem. Niestety nie dysponuję wystarczającymi materiałami naukowymi, które mogłyby mi pozwolić na jakąś monografię poświęconą zagadnieniu recepcji Herdera przez Polaków. Nie mniej – warto mieć świadomość, że skala jego oddziaływań na Polaków jest spora. Przedstawiłem pokrótce trzy wielkie osobistości polskiej kultury będące w różnym stopniu

związane z postacią Johanna Herdera. Staszic reprezentuje pokolenie współczesnych Niemców. Natomiast Mickiewicz i Słowacki pokolenie jego bezpośrednich następców. Można byłoby przywołać jeszcze wielu późniejszych myślicieli (choćby kilku spośród tych wymienionych) polskich, ale wybór tych trzech wiązał się z chęcią ukazania aktualności Herdera podczas jego życia, niedługo po jego śmierci oraz – pośrednio – jeszcze później. Niektórzy polscy filologowie twierdzą, że nasza literatura wciąż tkwi w romantyzmie. Jeśli to choćby po części prawda, to owoce herderyzmu w dużej mierze są obecne nawet dzisiaj. Odpowiedź na pytanie postawione we wstępie jest pozytywna – twierdzą, iż Herder wiele nam dał i nadal możemy z niego czerpać. Elementy godne uwagi w jego myśli dzisiaj to przede wszystkim: badania nad narodotwórczą rolą języka, analiza kulturowych aspektów narodu oraz sposób realizacji jednostki oraz społeczeństw w rodzaju ludzkim.

Patryk Płokita - „Od monarchizmu do republikanizmu - ewolucja polityczna irlandzkiego męża stanu Arthura Griffitha”

Arthur Griffith wydaje się być zapomnianą postacią w irlandzkiej historii najnowszej. Wpisuje się on nie tylko w nurt irlandzkiego nacjonalizmu i republikanizmu, ale również tradycjonalizmu oraz monarchizmu. Początkowo był sympatykiem autonomii dla Irlandii w ramach monarchii brytyjskiej (tzw. zasada „Home Rule” - „Rządy Krajowe”). Na przestrzeni lat wyznawane przez niego wartości „dojrzewały”. Jego idee polityczne ewoluowały w stronę irlandzkiego republikanizmu, nacjonalizmu i dążeniu do niepodległości dla swojej ojczyzny. W tym podejściu widać życiowy pragmatyzm, jednak zawsze na rzecz Irlandii. Życiorys tego człowieka podzielić trzeba na dwa główne okresy. Pierwszy z nich związany będzie z wcześniej wspomnianą ideą monarchizmu i autonomii (1871-1917), natomiast drugi z republikanizmem i walką o suwerenność ojczyzny (1917-1922).

A. Griffith przyszedł na świat dnia 31 marca 1871 r., w Dublinie. Uznaje się, że jego start w polityce rozpoczął się od przynależności do Ligi Gaelickiej. Działalność naszego bohatera przed utworzeniem partii Sinn Fein („My Sami”) charakteryzowała się np. bojkotowaniem produktów brytyjskich i konsumentów kupujących „obce rzeczy”. Oprócz tego szykanował on osoby, które nie kupowały irlandzkich wytworów rzemieślniczych i rolniczych. Obydwa te zachowania można określić mianem biernego oporu o wartości narodowe. A. Griffith w tym okresie nawoływał również do kulturowego powrotu do „spuścizny przodków”. Chodzi dokładnie o posługiwanie się językiem irlandzkim w codziennej mowie i w sztuce. Podobny pogląd wyznawał wspomniany w ramach Szturmu - Patrick Pearse.

W 1905 r. A. Griffith założył partię Sinn Fein. Wdrażała ona jego program polityczny. Główny z postulatów polegał na utworzeniu monarchistycznej unii personalnej pomiędzy Irlandią, a Wielką Brytanią. Irlandia według tych planów miała posiadać autonomię i stać się równorzędną prawną częścią w ramach Imperium Brytyjskiego. Powstałaby tzw. „monarchia brytyjsko-irlandzka”. Skąd zaczerpnięto pomysł? A. Griffith interesował się uzyskaniem autonomii przez Węgrów w ramach habsburskiej CK-monarchii. Podobnej autonomii chciał w Irlandii. Poglądy na ten temat spisał w publikacji „Resurrection of Hungary”. A. Griffith wdrożył też drugi postulat partii - wycofanie irlandzkich posłów z Westminsteru i utworzenie tzw. Irlandzkiej Rady Narodowej.

Przed pierwszą wojną światową A. Griffith przeciwstawiał się wszelkim aktom rewolucyjnym w Irlandii. Potępił on m.in. robotniczy Lokaut z 1913 r. Odrzucał też zrywy narodowe. Uważał takie metody za złe ku uzyskania niepodległości. (Dla porównania - przed pierwszą wojną światową, ten sam pogląd „anty-rewolucyjny” i „anty-powstańczy” widać było np. pośród polskiej endecji z Królestwa Polskiego z Romanem Dmowskim na czele). A. Griffith pomagał również w tworzeniu innych organizacji pro-narodowych i pro-patriotycznych. Wymienić tu warto dwie: organizacje kobiet „Córy Irlandii” i harcerstwo „Na Fianna”. (Kierowała nimi wspomniana w ramach Szturmu - Konstancja Markiewicz). Nasz bohater stał się również wydawcą tygodnika „United Irishman” w latach 1899-1906.

Podczas I wojny światowej doszło do Powstania Wielkanocnego. (24-30 kwietnia 1916 r.). A. Griffith oficjalnie je potępił. Negatywny stosunek do zrywu nie pomógł mu podczas aresztowania. Brytyjczycy argumentowali to tym, iż jako przewodniczący partii Sinn Fein miał wpływ na owe „wypadki”. Mało tego brytyjska generalicja w rozkazach błędnie określała „buntowników” wymiennym sformułowaniem „Sinn Feinersi”. A. Griffith z rebelią nie miał nic wspólnego. Nie wspierał jej ani ideowo ani finansowo. Dlaczego doszło do jego aresztowania? Trzeba w tym miejscu sprostowania dla czytelnika. Brytyjczycy źle zanalizowali sytuację. Sinn Fein nie wspierało insurekcji finansowo, zbrojnie ani ideowo. W tym czasie owa partia walczyła o autonomię i utworzenie monarchii brytyjsko-irlandzkiej, a powstańcy walczyli o pełną suwerenność w imię wartości republikańskich. Widać tutaj ideologiczną sprzeczność. Oprócz tego Powstanie Wielkanocne wywołało dobrze zakonspirowane i nierozpracowane, działające w ukryciu, Irlandzkie Bractwo Republikańskie.

Po Powstaniu Wielkanocnym A. Griffith został osadzony w obozie przejściowym. Znaleźli się w nim także walczący podczas wspomnianej rebelii np. Michael Collins i Eamon de Valera. Najprawdopodobniej ten okres więzienia wpłynął na zmianę światopoglądową A. Griffith’a. Chodzi dokładnie o zmianę ideologiczną z monarchizmu i autonomii ku republikanizmowi irlandzkiemu i pełnej niepodległości dla swojej ojczyzny. Widząc niedolę swoich pobratymców w pewnym stopniu się radykalizował. Tą nową postawę widać było w jego zachowaniu. Podam dwa przykłady. Pierwszy to potępienie rozstrzeliwań liderów Powstania Wielkanocnego. (Maj 1916 r.) Drugi to przeciwstawienie się przymusowemu wcielaniu Irlandczyków do armii brytyjskiej (wcześniej wstępowali oni jako ochotnicy), którzy mieli być wykorzystani do wojny przeciw państwom centralnym. (Marzec 1918 r.).

Sytuacja w latach 1916-1918 była znamieną w skutkach, a najbardziej dosadny w tych zmianach był rok 1917. W wyniku głosowania partyjnego A. Griffith stracił przewodnictwo w Sinn Fein. Przywództwo przejął E. de Valera. W konsekwencji spowodowało to zbudowanie nowego zaplecza politycznego i świeżości w szeregach partii na nadchodzące wybory. Sinn Fein i sam A. Griffith przestali żądać od Wielkiej Brytanii autonomii, rządów krajowych i tworzenie monarchii brytyjsko-irlandzkiej na wzór CK monarchii. Poglądy te przeszły do lamusa i śmietnika historii. Liczyła się już niepodległość Irlandii w formie republiki. Nie zmienił się jednak pogład Sinn Fein w kwestii wycofania irlandzkich posłów z Westminsteru i utworzenia tzw. Irlandzkiej Rady Narodowej. Zrealizowano go 21 stycznia 1919 r. Tego dnia, 25-ciu członków Sinn Fein, wybranych w demokratycznych brytyjskich wyborach do Westminsteru, przeniosło się do Dublina i utworzyło „Dail Eireann” - pierwszy niezależny irlandzki parlament. Z irlandzkiego niezależnego sejmu powstał Rząd Narodowy, w którym A. Griffith zyskał stanowisko wiceprezydenta oraz ministra spraw wewnętrznych. Podczas nieobecności przewodniczącego rządu E. de Valery, faktyczną władzę przejmował A. Griffith i M. Collins. Trwało tak praktycznie przez cały okres wojny anglo-irlandzkiej. (1919-1921).

Na czym polegała praca A. Griffith'a w tym rządzie? Dla przykładu jako minister spraw wewnętrznych utworzył on eksperymentalnie „podziemne republikańskie sądownictwo” ze specjalną „podziemną policją”. Nie był on do końca przekonany do tego pomysłu. Siły te działały od 15 kwietnia do 8 czerwca 1920 r. Szacuje się, że w wyniku tej działalności aresztowano 84 osoby. Warto wspomnieć, że doszło też do aresztowania A. Griffith'a . (Listopad 1920 r.) Pomimo tego pracował on dalej zza więziennych brytyjskich krat. Wysyłał on drogą konspiracji polecenia dla rządu Podziemnej Republiki Irlandzkiej.

A. Griffith odegrał ważną rolę w rozmowach dyplomatycznych po wojnie anglo-irlandzkiej. Został on wysłany do Londynu w delegację dyplomatyczną wraz z wcześniej wspomnianym M. Collins'em. 6 grudnia 1921 r. podpisali oni dokument, który przeszedł do historii jako „Treaty 1921”. Tak jak opisywałem to w „Dziejach Irlandzkiego nacjonalizmu cz. 3” delegacja irlandzka została przymuszona do podpisania dokumentu przez brytyjczyków. Grożono Irlandii wojną o charakterze totalnym, jeśli wysłannicy Dail Eireann nie zgodzą się na ustalone warunki czyli m.in. na: podział kraju na część północną i południową; państwowość w formie dominium jaką miała np. Kanada. Swoje postępowanie argumentowali tym, że trzeba było pójść na ugodę, podpisać traktat,

wykorzystać najbliższe lata na odbudowę kraju, aby mieć w przyszłości zaplecze zbrojne do kontynuowania walki o pełną suwerenność kraju. Ponadto A. Griffith wierzył w to, iż utworzona komisja graniczna uzna Ulsterskie państewko w Północnej Irlandii za nierealne do utrzymania w przyszłości. Niestety intencje A. Griffith'a i M. Collins'a zostały źle odebrane w ojczyźnie, co w konsekwencji wywołało wojnę domową w Irlandii w latach 1922-1923. Za jej początek uważa się zdarzenia, które miały miejsce podczas głosowania za przyjęciem/nie przyjęciem „Treaty 1921” w irlandzkim parlamencie. (Styczeń 1922 r.). Gdy wynik głosowania wygrała strona za przyjęciem dokumentu, E. de Valera z mównicy przekazał, że nie będzie pełnił roli prezydenta „Wolnego Państwa Irlandzkiego” i ze swoimi zwolennikami opuścił Dail Eireann. Prezydenturę przejął A. Griffith, choć nie na długo, bo zmarł on 12 sierpnia 1922 r. W kwestii zgonu sprawa jest niewyjaśniona. Jedne źródła podają, że był to zawał serca, inne, że wylew.

Idea A. Griffith'a ewoluowała od monarchizmu i autonomii do republikanizmu i niepodległości. To on był twórcą partii Sinn Fein. To on był pomysłodawcą programu, aby opuścić Westminster i utworzyć pierwszy niezależny irlandzki sejm, którym stał się Dail Eireann. A. Griffith'a określić trzeba mianem irlandzkiego męża stanu. To określenie pasuje najbardziej do okresu lat 1919-1921, kiedy to nawet z za więziennych krat, jako minister spraw wewnętrznych, działał na rzecz swojego narodu i kraju. Co do podpisania przez niego „Treaty 1921” kwestia zostaje sporna, czy była to dobra, czy zła decyzja.

Bibliografia:

Cottrell P., „The war for Ireland 1913-1923”, wyd. Osprey Publishing, New York 2009.

Donnelly J., „Encyclopedia of Irish History & Culture”, wyd. Thomson Gale 2004.

Griffith A., „Resurrection of Hungary”, Third edition, 1918, [w:]

<http://www.askaboutireland.ie/reading-room/digital-book-collection/digital-books-by-subject/history-of-ireland/griffith-the-resurrection/>

Grzybowski S., „Historia Irlandii”, wyd. zakład narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2003.

Klimkiewicz S., „Republika Irlandii”, wyd. KAW, 1979.

Płokita P., Dzieje irlandzkiego nacjonalizmu cz. 3” [w:] „Szturm” nr 26, listopad 2016.

Swoboda G., „Dublin 1916”, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 2006.